Wpisano do kontrolki periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 28. 11. 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
ROK III
Łódź 27. XI. 1960 r.
Nr 47 (143)
Cena 1 zł

BOGUSŁAW HOLUB

Bogowie nie mają sumienia

Przyszedł ponoć pewnego razu przed swego Stwórcę chłopina obdarty i zapytał:

— Powiedz, Panie, dlaczego jestem taki biedny?

— Boś głupi człecze — odparł Pan.

— A dlaczego jestem głupi?

— Bo jesteś biedny.

Wrócił chłop na ziemię i zaczął przepatrywać wokół, czy Stwórca ma rację. Spotkał na drodze wędrowca, człeka mądrego, lecz tak samo biednego, jak i on. „Oszukałeś mnie, Panie. Nie zawsze rozum z dostatkiem chodzą w parze" — pomyślał i poszedł dalej. Zanocował w jednym dworze. Tu powiedziano mu, że właściciel dworu i włości głupi jest jak cap, ale wiedzie mu się doskonale. Co gorsza, mądrych, a biednych ludzi do siebie sprowadza i naigrawa się z ich ubóstwa. Wtedy chłopek stanął na środku pola, zadarł głowę do góry i krzyknął: „Panie mój, nie masz Ty sumienia, żeby ten świat tak źle urządzić". Niebo jednak milczało.

Nie ręczę za autentyczność tej historyjki. Słyszałem ją od osób trzecich. Opowiadano mi ją w Pągowie. Tamtejsi chłopi doszukują się w niej analogii do wydarzeń we wsi. Czy mają rację?

PRZECIWKO BIEDZIE

Pągów to duża wioska. Ciągnie się parę kilometrów przy błotnistej drodze. Część mieszkańców wioski posiadała własną dziedziczną ziemię, część dostała ją dopiero z reformy rolnej. Tym ostatnim nie wiodło się dobrze. Bo ziemia to nie wszystko. Nie mieli zabudowań, narzędzi, inwentarza. Nie mieli tradycji gospodarowania na własnym kawałku. Babrali w otrzymanej ziemi tak, że ledwie wiązali koniec z końcem. Przyszli do nich mądrzy ludzie. Powiedzieli: bieda wam grzbiety pognie, bebechy wysuszy, umysły wyjałowi. Weźcie wy biedę za łeb i pod siebie. Zgniećcie ją jak wesz.

— Jak to zrobić? — pytali niezaradni gospodarze. — Zbierzcie się do kupy i tak razem stańcie jej naprzeciw.

We wsi zastanawiali się długo nad tą radą. Wielu jednak zrozumiało, że innego sposobu na biedę nie ma. Założyli spółdzielnię produkcyjną. Był to rok 1951. Każdy z członków zespołu wniósł swoją ziemię. Państwo przyznało im 70 ha resztówki i 18 ha stawów rybnych. Ludziska wzięli się do roboty. Uprawili łąki, oczyścili stawy, zasadzili sad owocowy, wybudowali obory na 50 sztuk rogacizny, cieplarnię i stosowną do swego bogactwa stodołę. Przez pięć lat wykaraskali się z biedy. Opuścili szopy i czworaki. Pobudowali sobie nowe przestrzenne domy. Na działkach dochowali się po parę sztuk trzody, stadka

(Dalszy ciąg na str. 5)

Fot. Janusz Skoszkiewicz

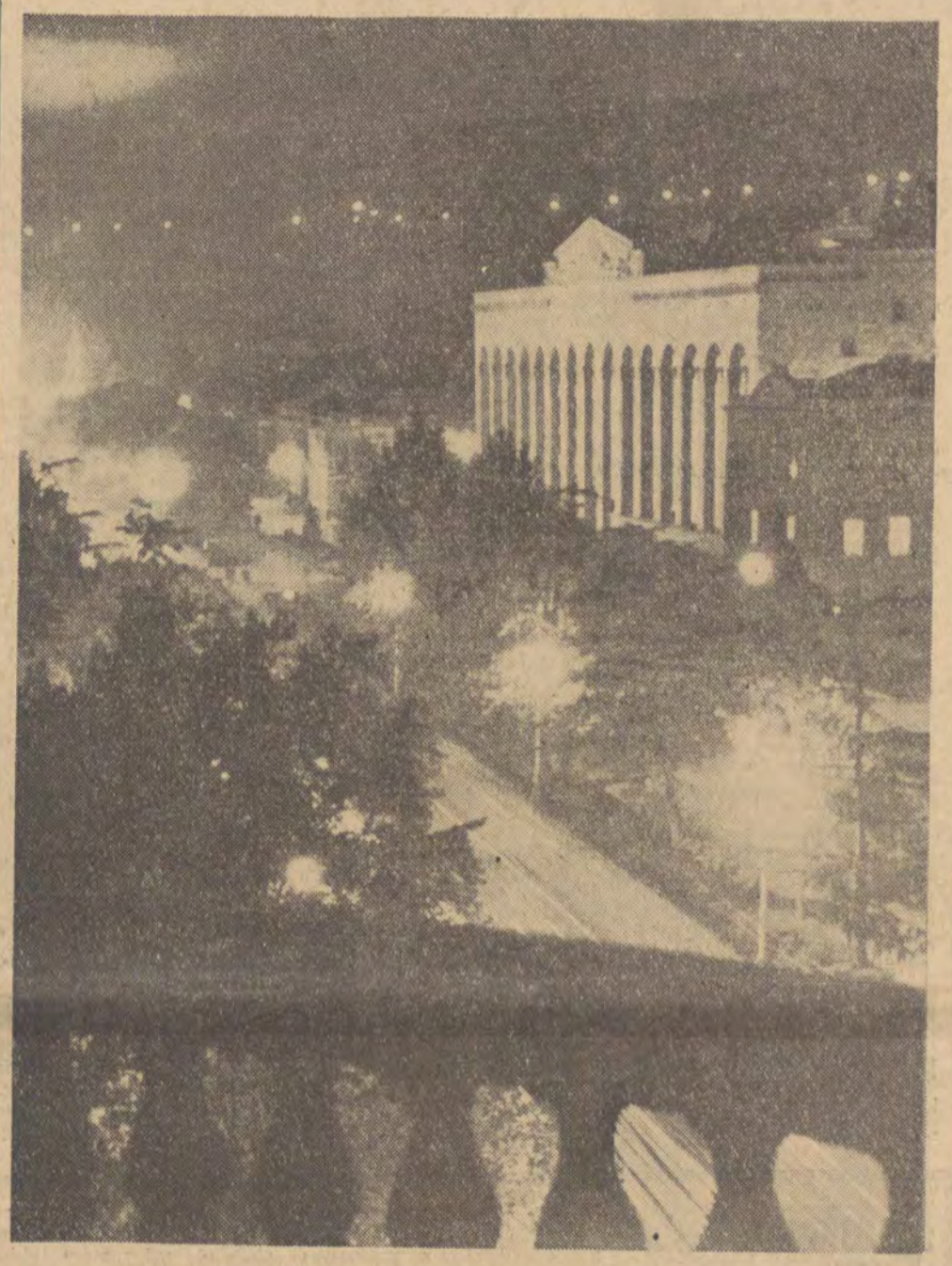

Widok na ratusz tbiliski

Od gorących źródeł do gorących serc — czytaj str. 9

JULIAN BRYSZ

Byle do wiosny *czyli:* dlaczego twój kaloryfer nie grzeje?

Projektanci ogrzewania jednego z przedszkoli w Tomaszowie Mazowieckim wyszli z założenia, że dzieci w czasie zabaw zbyt często rozbijają sobie głowy o kaloryfery. Rada w radę — i zaprojektowali ogrzewanie bez grzejników, za pomocą skierowania do sal strumienia ciepłego powietrza ogrzanego w specjalnej komorze.

Pomysł ten wydaje się znakomity. Bo oto mieszkańcowi luksusowego bloku, kiedy stwierdzi, że grzejnik w jego mieszkaniu przestał promieniować zbawczym ciepłem, nie pozostaje nic innego, niż w bezsilnej złości tłuc głową o kaloryfer. Wiadomo, jak kończą się takie zmagania.

Gdyby więc to od nas zależało, zaproponowalibyśmy wszędzie to pomysłowe ogrzewanie bez grzejników — dla uchronienia zdrowia i życia obywateli. Musimy jednak ugiąć się przed twardą rzeczywistością, najwyżej starając się cokolwiek z niej zrozumieć.

A zatem...

Co roku po lecie mamy jesień i zimę. Aby to wiedzieć, nie trzeba być astronomem. Wystarczy mieć swoje 5 lat życia. Ustawy na ogół ludzie, odpowiedzialni za sprawy centralnego ogrzewania chociaż jakoby dorośli, wykazują zdumiewającą ignorancję praw przyrody.

Tak było przynajmniej dotychczas. Jesienią prasa rzuca gromy a szczęśliwi posiadacze komfortowych mieszkań w blokach sposobili się do kolejnej polarnej zimy.

Aż w tym roku nastąpił przełom. Oto już 5 lipca wkroczyli w sprawę dwaj ministrowie — budownictwa i gospodarki komunalnej. Wydali wspólnie wszechogarniający okólnik z numerem BI. — 4/2/60. Że będzie zima i że w mieszkaniach musi być ciepło. Poskutkowało.

Potem nastąpiło jeszcze szereg lokalnych narad ku utwierdzeniu prawd ogłoszonych okólnikiem. Władze miejskie wzięły się ostro do sprawy i w rezultacie kaloryfery łódzkie ruszyły do walki wraz z pierwszymi chłodami.

Anno Domini 1960 po raz pierwszy udało się nam pokonać, okiełznać i ujarzmić bezmyślną przyrodę.

Należy się pomnik.

Mamy na terenie Wielkiej Łodzi 224 budynki mieszkalne (podległe MZBM) z kotłowniami lokalnymi, 23 kotłowni osiedlowych zdalaczynnych, z których każda ogrzewa od 4 do 36 budynków oraz około 80 bloków, podłączonych do sieci cieplnej EC II. Wszystko to razem stanowi znikomy jeszcze procent zabudowy mieszkalnej miasta. Ale kłopot z tym wielki. Bodaj nawet zbyt wielki...

JAK SIĘ TO ROBI?

Więc najpierw występuje na widownię inwestor, który rozpoczyna budowę osiedla. Zleca on różne roboty różnym przedsiębiorstwom. Jedno z przedsiębiorstw podejmuje się wykonania instalacji cieplnej. Samo jednak z

Dokończenie na str. 8

„Oni" powrócili...

O nowym Wehrmachcie piszemy na str. 4

JACEK LEBEN

Realista czy mistyk?

Po jakimś odczycie na temat sytuacji międzynarodowej zadano mi pytanie: kim właściwie jest prezydent de Gaulle, realista czy mistykiem? Prezydent de Gaulle dał przecież liczne dowody realizmu wysokiej klasy. W okresie poprzedzającym Drugą Wojnę Światową był przecież jedynym we Francji rzecznikiem nowoczesnej strategii, opartej o działanie szybkich związków broni pancernej. W czasie wojny był bezkompromisowym rzecznikiem wojny z Niemcami aż do ich ostatecznej kapitulacji. Odnowił w tym czasie sojusz radziecko - francuski. W ostatnim czasie dał jeszcze jeden dowód realizmu, uznając faktycznie granice na Odrze i Nysie.

Jeżeli jednak spojrzeć na jego osobę nie przez pryzmat wybranych faktów, ale ująć ją w całość w świetle generalnych tez jego polityki to wówczas owe realistyczne rodzynki zatracają się w jakieś niezgodności z podstawowymi przemianami dzisiejszego świata. Cała jego polityka odnowienia świetności Francji jest jednym wielkim nieporozumieniem.

Prezydent de Gaulle pragnie za wszelką cenę wprowadzić na nowo Francję do rzędu wielkich mocarstw. Już dzisiaj stawia wszystkim warunki, jak gdyby był pierwszym w świecie przed Chruszczowem i przed prezydentem Stanów Zjednoczonych. Żąda od przywódców anglosaskich uznania jego kluczowej pozycji na kontynencie europejskim, i w świecie. Żąda od Związku Radzieckiego by ten wyrzekł się okazywania pomocy ruchom narodowo - wyzwoleńczym i wyzwolonym krajom w Afryce i Azji. Myśli o tym, że zmusi kanclerza Adenauera do poprzestania na drugiej pozycji w Europie zachodniej. Liczy na kapitulacje powstańców algierskich wobec jego żądań. Raz za razem ciska się arogancko na Tunis, Maroko, Gwineę i inne kraje, które, jak się kiedyś wyraził, „z woli Francji stały się niepodległe".

Jakże to wszystko jest niewspółmiernie wygorowane w stosunku do rzeczywistej politycznej, ekonomicznej i militarnej pozycji współczesnej Francji.

W którymś z tomów swoich pamiętników prezydent de Gaulle napisał, że siły państwa nie mierzy się ilością fabryk, samolotów i armat. Siłę państwa mierzy się wielkością duchową narodu i jego przywódców.

Jak wiadomo, siła duchowa to pojęcie trudno uchwytne. Te słowa de Gaulle'a są chyba jakimś kluczem do zrozumienia jego polityki. Liczy on po prostu na to, że zręczną grą polityczną i uporem wprowadzi Francję do rzędu pierwszych w tym świecie. Liczy na to, że w latach sześćdziesiątych powtórzy chwyty z lat 40 — 45, kiedy to udało mu się odgrywać role jednego z czterech wielkich mimo tego, iż wkład militarny wolnej Francji w dzieło rozgramiania faszyzmu nie był na pewno większy od polskiego. Wówczas jednak wolna Francja była najwyższym moralnym symbolem. Gra polityczna udała się. Dziś nie można ominąć materialnych walorów.

Prezydent de Gaulle szamocze się w trójkącie wytyczanym przez następujące punkty: wojna w Algierze, dążność do stworzenia francuskiej siły uderzeniowej, oś Paryż — Bonn.

4 listopada prezydent de Gaulle wygłosił przemówienie w sprawie Algieru. Złożył w tym przemówieniu hołd wobec misji pacyfikacyjnej armii francuskiej w Algierze. Armia przyklasnęła, czekając co będzie dalej. A później de Gaulle mówił o Algierii algierskiej. Armię zmroziło. Armia żąda Algierii francuskiej. Prezydent de Gaulle rozumie jednak, że to niemożliwe. Twierdzi więc, że naród algierski winien się wypowiedzieć na temat swego losu. Uczynić to może jedynie w warunkach pokoju. Musi więc nastąpić w Algierze pokój. I teraz nieoczekiwana konkluzja. Powstańcy muszą więc złożyć broń. Cztery lata po złożeniu broni — referendum.

Rzecz jednak w tym, że powstańcy nie złożą broni. Nie mają powodu składać swego losu w ręce prezydenta de Gaulle'a. Stwierdzili już wielokrotnie, że domagają się pełnej niepodległości i suwerenności. Francuscy komuniści atakują de Gaulle'a, którego polityka odarta z pięknych słów jest w końcu polityką wojny. Prawica atakuje de Gaulle'a zarzucając mu chwiejność i trzyma w pogotowiu broń zamachu stanu w wypadku gdyby prezydent de Gaulle chciał przystąpić do rozmów z powstańcami. Plan de Gaulle'a nie zadowolił więc nikogo. Prezydent Francji uruchomił więc tradycyjny straszak komunizmu. Podrażniony podróżą algierskiego premiera Ferhat Abbasa do Pekinu i Moskwy stwierdził, że wojna w Algierze obiektywnie służy dziełu „Algierii radzieckiej". Odpowiadając na ten zarzut Ferhat Abbas stwierdził lapidarnie: „wolimy walczyć bronią chińską niż ginąć od broni zachodniej". Rak algierskiej wojny toczyć więc będzie Francję. Stanowisko prezydenta de Gaulle'a dalekie jest od realizmu. Jeszcze dalsze od realizmu jest jego stanowisko w sprawie francuskiej siły uderzeniowej.

Dwie kosztowne próby z bombami atomowymi na Saharze nie oznaczają jeszcze posiadania atomowej broni. A siła uderzeniowa to nie tylko bomba atomowa. Francuski bombowiec Mirage-4 jest dopiero na etapie wstępnych eksperymentów. Jego zasięg wynosi tylko 1600 km. Pułap 18.000 m, a szybkość zaledwie dwukrotnie przekracza szybkość dźwięku. Zanim więc samolot ten zostanie wyprodukowany będzie już przestarzały. Rakieta balistyczno-strategiczna Ziemia-Ziemia o zasięgu 2.500 km jest dopiero na etapie pierwszych planów. Zanim zostanie wyprodukowana minie wiele lat. De Gaulle wydał więc dyspozycje w sprawie zbudowania atomowej łodzi podwodnej — ruchomej wyrzutni rakiet. Taka łódź kosztuje 200 miliardów nowych franków. Przemysł francuski nie umie jeszcze produkować silników atomowych do takich łodzi, rozpoczyna się więc budowę fabryki tych silników. Znów 200 miliardów franków. Jeżeli nawet Francja kosztem największych wyrzeczeń stworzy mizerną ilościowo siłę uderzeniową to będzie ona przestarzała. Różnica w potędze między Francją a mocarstwami, które zaczęły wyścig 15 lat temu na pewno się nie zmniejszy. Przeciwko francuskiej sile uderzeniowej występuje lewica i prawica. Lewica konsekwentnie, twierdząc że Francja nie ma czego szukać na drodze atomowych zbrojeń, że zimna wojna zmniejsza do minimum możliwości państwa francuskiego. Atlantycka prawica natomiast twierdzi, że Francję nie stać na tworzenie takiej odrębnej siły, że jej utworzenie wzbudzi tylko nieufność wobec Francji wśród zachodnich sojuszników, i że trzeba zgodnie kroczyć po wytyczonej atlantyckiej drodze.

MINĄŁ TYDZIEŃ

OPTYMIZM — nie gusjewowski

W ubiegłym tygodniu na pierwszy plan wysunęli się nauczyciele. O nich pisano, na ich cześć organizowano spotkania, akademie, ich odznaczano. Byłem na wielu zebraniach, wiele słyszałem, chóry były na ogół zgodne, często podkreślano trudną pracę nauczyciela, nastrój był tak dalece optymistyczny, że nawet niektóre, zresztą bardzo słabe akcenty krytyczne miały swoje drugie, odwrotne oblicze, pozytywne.

Z tych wszystkich deklaracji, przemówień, głosów dyskusyjnych jedno wydaje mi się charakterystyczne, godne bacznej uwagi, jest to ten nurt, który podkreślał związek szkoły z życiem; w tym nurcie można było zauważyć drobne spięcia polemiczne, być może marginesowe na tle ogólnej dyskusji, lecz istotne dla dalszego jej toku. Byłem również na spotkaniu nauczycieli i rodziców w jednej ze szkół podstawowych, brali udział w tym „wieczorze przyjaźni" także przedstawiciele zakładów opiekuńczych. Nastrój był bardzo przyjemny, przemówienia w miarę dowcipne, w miarę poważne podkreślały charakter współpracy. W tym ostatnim punkcie padło szereg interesujących spostrzeżeń, istotnie, szkoła, chodzi w tym wypadku o Szkołę Ćwiczeń nr 46, sądzę, że podobnych przykładów znajdzie się w Łodzi dużo więcej, zaznała wielu dowodów życzliwości, opieki, zrozumienia od Zakładów Dziewiarskich im. Marii Konopnickiej. Ta szkoła posiada wyjątkowe szczęście! Piszę to bez ironii, wszyscy podkreślają, że poprzednie zakłady, które się nią opiekowały, przejawiały tę samą życzliwość. Ile pięknych słów zapisała kronika szkolna i więcej jeszcze gestów. Nieszczęście w tym, że ani szkoła ani zakłady nie mają czasu, aby tę wzajemną życzliwość pogłębić i rozwinąć. W przeciągu czterech lat szkoła zmieniała już czterokrotnie swoich opiekunów, a są znaki na niebie i ziemi, że zmieni po raz piąty. Ta właśnie troska psuła nieco harmonię wieczoru.

Z natury jestem optymistą, ale nie takim, jakim był Gusjew Zoszczenki, to nie jest optymizm pozytywny. Kiedy okazało się, że proszek, który używa Gusjew, nie jest pudrem „ktoś mniej optymistycznie nastrojony byłby zdruzgotany tym odkryciem". Lecz Gusjew nie był taki, to się nazywa postęp, powiada, chcesz pudruj sobie nim gębę, chcesz używaj do czego innego. Gusjew godzi się na wszystko, ale prawdziwy optymista może sobie pozwolić na podkreślenie ujemnych stron, niedorzeczności, wierzy w ich przemijanie, nie przyjmuje bezkrytycznie.

Cóż się bowiem dzieje? Oto nie przebrzmiały jeszcze echa mów powitalnych, jakie kilka miesięcy temu wygłoszono przy pierwszym spotkaniu przedstawicieli robotników i nauczycieli, a już trzeba przygotowywać z kolei następne przemówienie, do innych robotników. Istnieją uzasadnione obawy, że po siedmiu następnych miesiącach trzeba będzie witać przedstawicieli nowego zakładu. A takie częste powitania i pożegnania wcale nie wydają się zjawiskiem naturalnym, przeciwnie, dają posmak czegoś nie przemyślanego. Można by na ten temat napisać niezłą humoreskę. Lecz to wcale nie jest humoreską. Zdarzało się niekiedy, że zakłady na przykład włókiennicze opiekowały się szkołą metalową. Albo fabryka mająca siedzibę na jednym końcu miasta miała szkołę podopieczną na drugim krańcu. Takie pomyłki należało prostować, wciąż się je prostuje, ale nie wydaje się słuszne, aby przy tej okazji rozdzielać szkoły i zakłady znajdujące się w tej samej dzielnicy, które zdołały już nawiązać ze sobą kontakty, a nawet przyjaźń. To nie są sprawy zamykające się w kokieteryjno-infantylnym akcencie zgody i harmonii, to nie jest sprawa okazjonalnych wzajemnych wizyt przedstawicieli szkoły w fabryce i odwrotnie. To jest coś więcej, nie można tu zachować beztroski Gusjewa.

W tym skrzyżowaniu się interesów szkoły i zakładów pracy zawiera się wiele prawdy o naszej obecnej sytuacji. Szkoła jest związana z życiem, powiadamy. Cóż może trafniej symbolizować ten związek jak nie zakłady pracy? To jest sprawa oczywista, owoce tej współpracy, nie tylko materialnej, zebrać i ocenić można dopiero po latach, ten kapitał procentuje dobrze. Wydaje się, że powinna istnieć rozsądna polityka przydziału zakładów pracy do szkół, tej polityki nie można chyba sprowadzać do mechanicznego odnotowania, trzeba brać pod uwagę możliwości zakładu pracy, charakter szkoły, trzeba wreszcie dać czas na rozwinięcie się i pogłębienie tej współpracy. Ustawiczny taniec chyba temu nie sprzyja.

TADEUSZ PAPIER

LISTY TOŁSTOJA

Trzy listy Lwa Tołstoja drukuje „Nowa Kultura". Mimo, że są to materiały rocznicowe — a któż z nas bez strachu i znudzenia zabiera się do lektury wspominków czy rozważań z okazji takiej czy innej rocznicy? — warto te listy przeczytać, mówią bowiem wiele o poglądach autora, a także, co może ważniejsze, o owej pełnej pięknych złudzeń epoce, która wydała powieść — rzekę i powieść — oskarżenie. Oto fragment pierwszego z listów, wysłanego z Jasnej Polany 27 grudnia 1907 roku do Henryka Sienkiewicza:

„Należy walczyć nie z ludźmi, lecz z zabobonami o konieczność istnienia przymusu ze strony państwa, co nie da się przecież pogodzić ze współczesną świadomością ludzi świata chrześcijańskiego i jak najbardziej przeszkadza współczesnej ludzkości uczynić krok, do zrobienia którego jest ona od dawna gotowa. Walczyć z tym złem można jedynie przy pomocy najbardziej naturalnego, a jednocześnie najpotężniejszego, lecz niestety dotychczas nie używanego sposobu, który polega na tym wyłącznie, by żyć nie korzystając z przymusu państwowego i nie brać w nim udziału".

Przypominam, mamy rok 1907, w Jasnej Polanie może żyć jeszcze złudzeniami, nie korzystając z przymusu państwowego i nie biorąc w nim udziału. Niestety, tylko w Jasnej Polanie, tylko tam jeszcze można wybierać, z całą powagą być za albo przeciw, z całą powagą wierzyć w zwycięstwo Królestwa Bożego na ziemi i w posłannictwo artysty. Minie lat kilka lub kilkanaście i artysta odrzuci powagę i schroni się w śmiech, bo już nie będzie niczego, co by można zaakceptować bez zastrzeżeń, bo już tylko śmiejąc się można będzie być za albo przeciw. Tego Tołstoj już nie zrozumie, „życie— pisze w roku 1908 w liście do Shawa — *to wielka i poważna sprawa, i my wszyscy w ciągu krótkiego okresu czasu, jaki nam został wyznaczony, powinniśmy znaleźć swoje właściwe powołanie i wypełnić je możliwie najlepiej*". I dalej, *„jest pan niedość poważny*, pisze, *nie wolno żartobliwie mówić o takim temacie, jak o celowości życia ludzkiego, o przyczynach jego zwyrodnienia i tych nieprawościach, które napełniają życie naszej ludzkości*".

Uwagi są dość gorzkie, Tołstoja trzeba wszakże zrozumieć, z perspektywy Jasnej Polany można było mieć za złe Shawowi, że nie chce z całą powagą być za albo przeciw, że chroni się w śmiech, że świat uważa za zły żart Pana Boga. Był rok 1908, trudno było przewidzieć, że kpiąca i żartobliwa literatura XX wieku będzie, w gruncie rzeczy, zwierzęco, śmiertelnie poważna.

ERENBURG O SZTUCE

„Mam słabość do Żeromskiego, nie znoszę Przybyszewskiego, ogromnej radości dostarczała mi zawsze lektura Słowackiego w przekładach francuskich i rosyjskich".

Tak mówi Ilia Erenburg w wywiadzie przeprowadzonym przez Michała Radgowskiego, a zamieszczonym w ostatnim numerze „Polityki". Z tej rozmowy, przynoszącej wiele interesujących uwag na temat telewizji, filmu, współczesnej literatury radzieckiej, a przede wszystkim na temat stosunków łączących Erenburga z Polską, wyjmuję anegdotkę, wartą chyba przemyślenia.

„Prawda artystyczna — powiada Erenburg — *to nie rejestracja faktów życia, lecz tworzenie go na nowo. Tairow opowiedział mi kiedy historyjkę starego Coquelina: Na francuskim jarmarku pewien aktor imitował krzyk prosiaka. Wszyscy byli zachwyceni, tylko pewien chłop normandzki oświadczył, że on to może odtworzyć lepiej. W czasie zawodów posadził sobie prosiaka za pazuchę i szczypiąc pobudzał go do krzyku. Tłum gwizdał i protestował, powiadając, że aktor czyni to lepiej, chłop zaś nie umie imitować głosu zwierzęcia".*

Tu kończy się przypowieść; *podobnie bywa i w sztuce*, mówi jeszcze Erenburg, *kiedy rejestruje się po prostu przejawy życia*, i dodaje, *to nie jest sprawa artysty*. Wniosek jest zupełnie oczywisty, Erenburgowi trudno odmówić racji, rejestracja nagiego życia nie ma zazwyczaj nic wspólnego ze sztuką. Choć, dodajmy, historia literatury zna okresy, kiedy właśnie z rejestracji faktów — a tylko z rejestracji faktów — rodziła się nowa sztuka. Było to wszakże zwykle wynikiem wyjątkowej sytuacji, w jakiej znajdowała się zbiorowość ludzka, a wraz z nią sztuki piękne, ludzie zapomnieli, jak brzmi krzyk prosiaka, chcieli usłyszeć ten krzyk, domagali się zarejestrowania go, potem sytuacja ulegała zmianie i artyści rezygnowali z rejestracji na rzecz imitowania. Co nie zawsze wychodziło im na dobre, sztuka bywa niekiedy rejestracją życia, bywa też jego imitacją, zazwyczaj jednak nie jest jednym, ani drugim, ale czymś zupełnie innym.

SZTUKA NA EKSPORT

W tym samym numerze „Polityki" znalazłem rozmowę z dyrektorem PAGART'u, która to instytucja, będąc czymś w rodzaju państwowego impresaria, zajmuje się wysyłką polskiej sztuki — a konkretnie polskich odtwórców — za granicę. Rozmowa jest dość optymistyczna, *„wysyłamy* — mówi dyrektor PAGARTU'u — *naszych artystów prawie do wszystkich krajów europejskich, roku 1958 zorganizowaliśmy łącznie 124 wyjazdy solistyczne (głównie muzyczne, w małej części estradowe). W roku 1959 — liczba tych wyjazdów urosła do 160. Jeśli chodzi o wyjazdy zespołów — rok 1958 przyniósł 37 wyjazdów, rok 1959 — 41".*

Tak to wygląda w cyfrach, zagraniczne sukcesy naszych śpiewaków, dyrygentów i pianistów są świadectwem dobrej roboty PAGART'u niestety, tylko PAGART'u, działalność po-

(Dokończenie na str. 7)

KAROL BADZIAK

Fot. J. Grodziński

TAJEMNICA „bursztynowej komnaty” (II)

Rozdział piąty,

w którym dowiadujemy się o największej miłości „Znikającego Doktora”

Dlaczego dr Rhode nie uciekł z Niemcami, lecz pozostał nadal w Królewcu? Otóż ten oschły naukowiec miał jedną wielką miłość — bursztyn. Rhode, kiedy mówił o bursztynie, stawał się poetą. Bursztyn był jedyną pasją jego życia. Kiedy zaczynał rozprawiać na ten temat, zdumiewał słuchaczy głęboką wiedzą, autorytetem i niecodziennym umiłowaniem tej żywicy z drzew iglastych trzeciorzędu.

Rhode był doskonałym historykiem sztuki, interesował się również filozofią. Obok bursztynu uwielbiał także Kanta. Urodzony 24 stycznia 1892 r. w Hamburgu, po studiach w Marburgu, Monachium i Paryżu został kustoszem w Muzeum Sztuki swego rodzinnego miasta.

Największe przeżycie przyniósł mu dzień, w którym powierzono mu funkcję konserwatora największej w świecie kolekcji bursztynów, znajdującej się w Królewcu. Był wtedy rok 1928. Kolekcja królewiecka składała się ze 120 tys. eksponatów. W 35 salach i pomieszczeniach połączonych ze sobą schodami, eksponaty wyłożone były w przejrzystym układzie. Specjalny dobór różnych farb ściennych sygnalizował zwiedzającemu określoną epokę w dziejach. Ze szczególną pieczą i troskliwością zorganizował Rhode salę Lovis-Corintha! O królewieckim okresie tego malarza napisał również książkę. Jako historyk sztuki był bardzo płodny. Oto niektóre jego prace: „Historia obróbki artystycznej żelaza”, „Historia instrumentów naukowych”, „Obrazy i widowiska pasyjne”, „Roboty w bursztynie XVI i XVII wieku w Królewcu” i „Komnata bursztynowa Fryderyka I na zamku królewieckim”.

Jak później opowiadali świadkowie największym wstrząsem dla Rhode była wiadomość, że do Królewca przysyłają bursztynową komnatę, zrabowaną w ZSRR. Zachowywał się jak szaleniec i nawet obawiano się, aby nie postradał zmysłów. Nie pozwalał się zbliżać do skrzyń, nikomu nie dowierzał, osobiście rozpakował cały transport. Po zmontowaniu zamykał się samotnie w komnacie i godzinami, z masochistycznym upojeniem, wpatrywał się w żółtawą mozaikę.

W jednym z opowiadań Honoriusza Balzaca pt. „Nieznane arcydzieło” występuje malarz, który ukochał obraz tak niepodzielną miłością, iż przed samą śmiercią go zniszczył. Może podobna miłość zgubiła bursztynową komnatę?

Rozdział szósty

w którym prof. Barsow goni człowieka w czarnym płaszczu

Dr Rhode do ostatnich chwil pilnował bursztynowej komnaty. Dniem i nocą siedział w zamku i troskliwie dbał o skrzynie z „komnatą”. Nikt nie interesował się wtedy ani skarbem ani jego opiekunem. W momencie kiedy wojska radzieckie przystąpiły do decydującego ataku, dr Rhode zniknął. Zniknęły także skrzynie. Żołnierze niemieccy wzięci do niewoli stwierdzają zgodnie, że skrzynie w tym czasie znajdowały się w nie strzeżonej sali zamkowej. Jeśli chodzi o doktora, nikt jakoś nie zwrócił specjalnej uwagi na jego zniknięcie. Zbyt gorące to były godziny i nikt nie miał czasu ani ochoty interesować się zdziwaczałym naukowcem.

Natychmiast po kapitulacji dr Rhode znowu się pojawia na terenie zamku. Skrzyń w tym czasie już nie było. Niemiecki naukowiec nadal pracuje w muzeum. Jak podaje Dimitriew — autor radzieckiej rozprawy na temat bursztynowej komnaty — Rhode jest wówczas pracownikiem zdyscyplinowanym i obowiązki swe wypełnia dokładnie i sumiennie. Zdobywa w ten sposób zaufanie i szacunek Rosjan i mimo ciężkich wojennych warunków ma zapewnioną egzystencję.

Rhode jest jednak małomówny, zastraszony, zachowuje się dwuznacznie. Jak zeznał później prof. Barsow, pełnomocnik radziecki, który przejął opiekę nad zamkiem, Rhode robił wrażenie jakby się chciał z czegoś zwierzyć. Szczególnie dziwne było jego zachowanie wieczorem 14 grudnia 1945 r. Odwiedził wtedy wraz z żoną prof. Barsowa w domu i już miał zacząć rozmowę... gdy nagle ktoś im przerwał.

Prof. Barsow — jak sam stwierdza — nie przywiązywał wówczas do tego większej wagi. Traktował Rhodego jak zdziwaczałego naukowca. Spacerując pewnego razu po Królewcu ten zdziwaczały naukowiec zatrzymywał się kilkakrotnie w rejonie zburzonych ulic: Steindamm i Lange Reich i nieznacznie nadmienił Barsowowi, że w schronie pod tymi gruzami coś się znajduje.

Prof. Barsow przypomina sobie również, że pewnego razu wczesnym rankiem udał się z dwoma oficerami na obchód zamku. W pewnym momencie natknęli się na człowieka w czarnym płaszczu, który na ich widok zaczął uciekać w kierunku baszty. W trójkę udają się za nim w pościg. Człowiek w czarnym płaszczu wsiąka jednak jak kamfora. Po chwili ujrzeli dym wydobywający się z okien ośmiokątnej baszty. Postanowili więc sprawdzić przyczynę pożaru i oto naraz w jednej z komnat zastają dra Rhode. Na podłodze było rozpalone ognisko, a dr Rhode przeglądał jakieś papiery i rzucał je w płomienie. Spostrzegłszy w drzwiach Barsowa i dwóch oficerów upadł z przerażenia na posadzkę i zaczął głośno krzyczeć. Najwidoczniej dostał szoku nerwowego.

Barsow w pierwszej chwili kazał go aresztować, gdy jednak ochłonął, nakaz swój cofnął. Doszedł do wniosku, że Rhode mógł przecież palić swą prywatną korespondencję. To był błąd prof. Barsowa.

Rozdział siódmy

w którym dowiadujemy się o tajemniczych okolicznościach zgonu małżonków Rhode

15 grudnia Rhode nie przyszedł do pracy. Na trzeci dzień z polecenia Barsowa pracownicy zamku udają się do jego mieszkania. Jacyś sąsiedzi informują ich, że państwo Rhode przed dwoma dniami zmarli. Tego samego dnia rozpoczyna się energiczne śledztwo. Udaje się odnaleźć świadectwo zgonu obu małżonków, które wystawił dr medycyny Paul Erdman. Lekarz następnego dnia znika jednak w tajemniczy sposób. Zwłok małżonków nie można odnaleźć. Podobno jacyś nieznani ludzie wywieźli je w niewiadomym kierunku.

Tak więc jedyny człowiek, który zna i chce ujawnić miejsce ukrycia bursztynowej komnaty ginie bez wieści. Świadectwo zgonu, podaje jako przyczynę zgonu, dyzenterię. Jednak czy można wierzyć lekarzowi, który na drugi dzień po wystawieniu takiego świadectwa ratuje się ucieczką?

Nasuwa się więc pytanie: czy nie było to czasem podwójne samobójstwo? Ale skąd wobec tego dowiedzieli się o tym tajemniczy grabarze, którym tak bardzo zależało na ukryciu zwłok?

A zatem komu zależało na śmierci dr Rhode? Zapewne tym, którzy dali mu rozkaz ukrycia bursztynowego skarbu i zatajenia przed władzami radzieckimi, miejsca jego ukrycia.

Wolfgang Rhode, syn Alfreda, mieszkający obecnie w Kolonii tak pisze w swym liście do władz radzieckich: „*... podczas ostatniego mojego pobytu w Królewcu ojciec mój wspomniał o bursztynowej sali. Mówił, że nie boi się władz radzieckich, i że skarby bursztynowe i wszystkie inne eksponaty, zrabowane przez hitlerowców, zamierza oddać pierwotnym właścicielom. Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby po pierwszym stycznia 1945 r. można było cokolwiek wywieźć z Kaliningradu. Nie wyobrażam sobie zresztą, żeby ojciec mój pomagał w rabowaniu skarbów. Przypuszczam, że sala bursztynowa znajduje się w tajnych podziemiach zamku królewieckiego. Życzę powodzenia w prowadzonych poszukiwaniach*”.

Dr Rhode był zapewne uczciwym człowiekiem i naukowcem. Uczciwy człowiek zginął. Ale żyje jeszcze Erich Koch (skazany na śmierć wyrokiem Sądu Najwyższego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej za zbrodnie przeciwko ludzkości. Wyroku nie można wykonać, ponieważ więzień jest obłożnie chory), który także wie gdzie powinna znajdować się drogocenna „Bernsteinzimmer”. Ale ten „wielbiciel” sztuki uparcie milczy jak grób.

O wynikach radzieckich detektywów, o operacji „Zieleń„ i akcji „Prasa” opowiemy w następnym odcinku.

BUNDES-WEHRA wkroczyła do Francji

W roku 1933 — w piętnaście lat po zakończeniu Pierwszej Wojny Światowej — Niemcy hitlerowskie wstępowały dopiero na drogę odwetu. W roku 1960 — w piętnaście lat po Drugiej Wojnie — siły zbrojne Niemiec zachodnich wkraczają na terytorium Francji.

Jak już wiemy z prasy, dwa bataliony grenadierów pancernych oraz dwa bataliony spadochroniarzy Bundeswehry rozlokowały się na poligonach w Mourmelon i Sissonne. Wkrótce dalsze oddziały mają zająć bazy lotnicze i morskie, obozy wojskowe oraz składnice zaopatrzenia. Łącznie stacjonować będzie we Francji ponad 35 tysięcy żołnierzy niemieckich. Podobno ustalono już ich lokalizację.

Gen Heusinger

Wszystko — na podstawie porozumienia między Paryżem a Bonn, porozumienia zawartego po rozmowach rozpoczętych w dniu 19 września 1960 roku.

Tak brzmi wersja oficjalna. Jak było w rzeczywistości?

W dniu 3 lipca 1957 roku dziennik „Combat" opublikował fotokopię listu, który Franz Josef Strauss, federalny minister obrony wysłał do generała Heusingera, generalnego inspektora Bundeswehry. List ten rzuca pewne światło na interesującą nas sprawę.

* * *

Bonn, 12 kwietnia 1957
Argelanderstrasse 105

Pan Inspektor Generalny
Bundeswehry,
General-porucznik Heusinger

General-porucznik Speidel powiadomił mnie poufnie, że dojrzewają plany rozmieszczenia głównych baz Bundeswehry na wschodnich terenach Francji; zaraz po wyborze odpowiednich terenów ma on te plany przedstawić głównodowodzącemu, panu generałowi Norstadowi.

Zgodnie z praktyką innych mocarstw NATO przewidującą instalowanie baz zasadniczych na terytorium wschodnio-francuskim, Belgii, Holandii belgijskim, i utrzymanie w Republice Federalnej — za wyjątkiem okręgu Rheinland-Pfalz — jedynie składów uzupełniających i rozdzielających z niewielkimi zapasami materiałów, biorąc pod uwagę mierną głębokość obszaru Republiki Federalnej należy stworzyć podobnie dogodne warunki w celu zapewnienia potrzebnego Bundeswehrze zaopatrzenia w momencie decydującym. Przy zakładaniu owych baz należy mieć na uwadze terytorium ograniczone w przybliżeniu linią Metz — Luksemburg — Reims — Chalons na północ od składów amerykańskiej Advance Section na terytorium Nancy — Metz — Vitry le Francois.

Proszę Pana o przygotowanie dla generała Speidla, jeszcze przed 1 lipca rb. referatu, który mógłby posłużyć za podstawę do wstępnych rozmów w cztery oczy z panem generałem Norstadem.

Referat powinien zawierać w szczególności:

1) Uzasadnienie konieczności i korzyści — w warunkach nowoczesnego prowadzenia wojny — rozmieszczenia zasadniczych baz Bundeswehry w wyznaczonym rejonie.

2) Uzasadnienie korzyści i konieczności oddania do dyspozycji niemieckiej — w czasie wojny a nawet już teraz — składów i dróg prowadzących do Niemiec, jako też zapewnienia ich ochrony przez stacjonujące tam oddziały Bundeswehry, które by w tym przypadku musiały korzystać z praw eksterytorialności, takiej jaka przysługuje oddziałom amerykańskim we Francji i oddziałom francuskim w Republice Federalnej.

3) Ogólny kosztorys całego projektu z wyliczeniem kosztów jakie gotów byłby ponieść rząd federalny, jak również część która by przypadała na program struktury wewnętrznej NATO.

4) Żądanie poparcia tego projektu przez stronę amerykańską zarówno w NATO jak wobec rządu francuskiego.

(—) STRAUSS

Opublikowanie listu wywołało w swoim czasie burzliwe protesty oraz stanowcze dementi rządów francuskiego i federalnego. Obie strony ogłosiły, że dokument jest fałszerstwem. A dziś?

Protestacyjne demonstracje którymi — wbrew zakazom władz — powitała ludność francuska wkraczające oddziały, świadczą, że nawet ci Francuzi, którzy akceptują strategię NATO, jasno widzą cele owej polityki. O kulisach afery pisze bez osłonek Philippe Targis w „Regards".

Według tajnych akt niemieckiego sztabu generalnego — dokumentów, które władze francuskie ignorują nie bez kozery — cele owej lokalizacji wojsk są całkiem inne niż się głosi publicznie.

Chodzi o poparcie i podtrzymanie „sił pozytywnych" we Francji, o nadzorowanie i w razie potrzeby zćławienie „sił negatywnych".

— Jeżeli Francuzi nie są zdolni zaprowadzić porządku we własnym domu, będziemy maszerować — oświadczył w maju 1958 roku pułkownik Schmueckle, rzecznik prasowy federalnego ministerstwa obrony.

I słowo stało się ciałem. Zaobserwowano że w szeregach kompanii wartowniczej, przeznaczonej do ochrony jednego z owych składów we Francji, tylko połowę stanu liczebnego stanowią zwykli żołnierze. Reszta — to żandarmeria polowa, „Feldjaegerzy". W latach okupacji formacja owa nosiła nazwę „Geheime Feld Polizei" — tajna policja wojskowa — i była sekcją Gestapo. W dodatku żandarmi wcale nie mają pilnować swoich kolegów, przeciwnie mają się „zaopiekować" personelem francuskim.

Albowiem wojskowi niemieccy nie mają zaufania do swoich francuskich „towarzyszy broni". Między sobą wyrażają się o nich raczej pogardliwie. W kontaktach towarzyskich zachowują, oczywiście pełną atencję. Są bowiem po temu niebłahe przyczyny.

Od roku 1957 szuka się systematycznie oficerów Bundeswehry, którzy mają doświadczenie w walce z partyzantami, szczególnie francuskimi „maquis", którzy dobrze mówią po francusku a po dniach okupacji utrzymali kontakty z pewnymi grupami Francuzów. Oficer niemiecki, który zachował dawne, prywatne znajomości z lat wojny i zechce spędzić urlop w miejscowości, gdzie owych znajomych posiada, otrzymuje nawet dodatkowy żołd, rodzaj stypendium.

A kontakty takie istnieją. Przede wszystkim między byłymi członkami dywizji „Charlemagne" (Karola Wielkiego) — francuskich Waffen SS — a niektórymi oficerami Bundeswehry; tymi samymi zazwyczaj, którzy mają powiązania z dawnymi esesmanami.

Przy tym już w roku 1952 było wiadomo, że „Gehlen", organizacja szpiegowska pozostająca wówczas na żołdzie amerykańskim, posiada dossier dawnych kolaboracjonistów francuskich, którym udało się umknąć sprawiedliwości. Dziś — choćby drogą szantażu — można ich zmusić do dalszej współpracy, to znaczy do dalszych denuncjacji.

Bardzo to dziwny sojusz i bardzo dziwna współpraca w ramach „wspólnej organizacji obronnej". Ale jeśli w planach sztabu generalnego w Bonn figuruje na pierwszym miejscu wojna atomowa przeciw krajom socjalizmu, nie bardzo podle miejsce zajmuje projekt ewakuacji czterech milionów Niemców do wschodniej Francji. W dniu „J" fala uchodźców zaleje, jeśli trzeba będzie — siłą Alzację, Burgundię i Franche-Comté. Ludzie ci mają tam zostać, na zawsze. Dlatego właśnie „Feldjaegerzy" muszą zaprowadzić porządek.

Wiele się nabiedził sztab hitlerowski zanim udało mu się przed wojną zorganizować we Francji dywersję. Dzisiaj wygląda to na zabawę dziecinną. Szef nowoczesnej „Piątej Kolumny", generał Speidel rezyduje w Fontainebleau i dowodzi częścią armii francuskiej. Dzień, w którym Speidel objął urzędowanie, we wszystkich messach oficerskich Bundeswehry świętowano jako „najbardziej decydujące zwycięstwo nad Francją od czerwca 1940 roku".

Owa infiltracja niemiecka we Francji zaczęła się zresztą dużo wcześniej. Już w listopadzie 1956 generał Kammhuber — dowódca nowej Luftwaffe a były najbliższy współpracownik Goeringa — odbył inspekcję poligonu w Colomb-Bechar na Saharze w poszukiwaniu terenów ćwiczebnych odpowiadających potrzebom armii niemieckiej. Dokonano tam pewnych inwestycji i oto, już od dwóch lat na piaskach Sahary niemieccy oficerowie przygotowują się do wojny nuklearnej.

Czytaliśmy niedawno o tak zwanej „bombie szarego człowieka". Ile w tym jest prawdy, a ile propagandy — któż to wie. Ale udział Niemców w wyprodukowaniu francuskiej bomby atomowej jest faktem niewątpliwym.

W październiku 1958 minister Strauss zwołał na poufną konferencję około trzydziestu oficerów ze służby psychologicznej Bundeswehry. Tematem obrad była francuska bomba „A".

Kiedy oficerowie obruszyli się na „przesadne ambicje Francuzów" Strauss oświadczył:

— Zapewniam panów, że owa bomba jest w znacznym stopniu naszą. Kiedy odmówiliśmy zakupienia „Mirage" dla Luftwaffe, osłodziliśmy tę pigułkę Francuzom przekazując im 300 milionów marek na badania nuklearne. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nasi uczeni współpracują z francuskimi kolegami w Saint-Louis. Nasz wkład w atomowe dozbrojenie Francji jest w ostatecznym rachunku pracą dla nas samych. Myślę, że panowie rozumieją...

Na pewno zrozumieli. Nawet sens niedopowiedzenia.

Zresztą inne oficjalne czynniki wyrażały się mniej powściągliwie. W marcu 1951 Jacob Kaiser, ówczesny minister dla spraw ogólnoniemieckich zadeklarował publicznie:

— Nie można stworzyć prawdziwie wolnej Europy, nim nie nastąpi całkowite połączenie Niemiec. Przypominam, że chodzi tu — poza terenami aktualnie niemieckimi — o Austrię, część Szwajcarii, Saarę, Alzację i Lotaryngię...

A generał Heusinger oświadczył w grudniu 1954 roku:

— Wyrzeczenie się siły jest ustępstwem na rzecz Francji. Kiedy stosunek sił się zmieni, owe koncesje okażą się tym, czym są w rzeczywistości — prowizorium.

Oczywiście Niemcy nie zamierzają podbijać Alzacji i Lotaryngii. Znaleźli sposób bardziej subtelny: wejść do NATO i zająć wszystkie kluczowe stanowiska.

— Nie ma dla nas innej drogi — mówił pewien wyższy oficer — jak tylko stać się najpoważniejszą siłą wojskową w ramach Paktu Atlantyckiego, by w końcu zostać siłą najpotężniejszą i decydującą.

I dodał:

— W roku 1965 my będziemy dominować, a więc i dowodzić.

Opracował: **K. J.**

BOGOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1)

drobiu i krowiny. Dawniejsza zahukana biedota wyprostowała karki, nasyciła brzuchy i wdzięczna była tym, którzy skierowali ich na nową drogę.

Jest jednak takie ludowe porzekadło: „Jeśli Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu wpierw rozum odbierze". Spółdzielcy w Pągowie do dziś nie mogą się dopatrzyć swoich win, chociaż przyznają, zgodnie, że nadszedł czas, że im „rozum odebrało". Napluli na wspólny dostatek, drapnęli każdy co mógł i rozbiegli się po swoich starych kawałkach gruntu. Zostawili pustą oborę, stodołę, stawy, sad sadzony własnymi rękami, szklarnię i maszyny. Machnęli ręką na bogactwo, które im dano i które sami wypracowali. Nie było wtedy mądrych, którzy by stanęli naprzeciw „skołowanego" zespołu spółdzielców. Nikt nie powiedział im: opamiętajcie się! Przeciwnie, niektóre fakty, jak na przykład lekkomyślna decyzja czynników radomszczańskich o przywróceniu pewnemu dziedzicowi 160 hektarów ziemi, musiała wywrzeć wpływ na ich postawę. Był to co prawda jedyny taki wypadek w Polsce, ale na terenie powiatu radomszczańskiego miał on wiele fatalnych następstw. Jednym z nich stało się rozwiązanie dobrze gospodarującej spółdzielni w Pągowie.

Niektórzy poczytywali sobie rozbicie spółdzielni za powód do przechwałek, ba, może nawet odznaczeń. Kazimierz Bogdanko, były przewodniczący spółdzielni nie kryje się, że on spółdzielnię założył i on ją rozłożył. Miał on, co prawda, trochę nieprzyjemności z końcowymi rozliczeniami, ale nie ma potrzeby wracać do tamtych dni. Rubryki zysków i strat są już wypełnione.

SPÓŁDZIELCY?

Przed kilku dniami w Radomsku powiedziano mi: „— Jedźcie do Pągowa, przed trzema laty, na miejscu rozbitej powstała tam nowa spółdzielnia produkcyjna. Wracają do niej starzy członkowie".

Pojechałem. Po drodze gubiłem w błocie swoje półbuty. Wieś bowiem oddzielona jest od głównego traktu kilkoma kilometrami polnej drogi. Jesienią przejechać można tam tylko parokonką; samochód ugrzęźnie w błotnistych dołach. Tym tylko tłumaczę radomszczańskich działaczy za niedostateczną znajomość sytuacji na wsi i w nowej spółdzielni. Oby tylko tłumaczenie to uspokoiło ich sumienia.

Obecny przewodniczący nowo powstałej spółdzielni Tadeusz Król, nie należy do ludzi rozmownych. Może zresztą ma powody, żeby nie być gadatliwym? Słowo po słowie rysował się przede mną obraz tej nowej „spółdzielni". Dopisuję cudzysłów nie bez zażenowania. Promil winy bowiem przypada i na mnie. Nawet nie promil, 28-milionowy ułamek. Nie jest to dużo ani mało. W sam raz jak na jednego obywatela PRL. Ta współodpowiedzialność dyktuje mi ostry ton tego reportażu.

Tadeusz Król wyliczał członków nowej spółdzielni tak, że nie mogłem się połapać ilu ich właściwie jest. Pięciu, czy ośmiu? We wsi powiedziano mi, że jest w niej 5 spokrewnionych ze sobą rodzin. Pytam się Króla — kto ze „starych" przystał do was w tym roku.

— Wstąpiło dwóch, ale nie ze starej spółdzielni.

— Dlaczego „oni" do was nie przychodzą?

— Bo ja wiem? Mają spółdzielni dosyć.

— A wy?

— Myśmy niedawno zaczęli.

— To jest spółdzielnia III typu?

— Tak jest.

— Więc ziemię uprawiacie wspólnie.

— Tylko kawałek resztówki.

— A własną?

— Własną każdy uprawia sam.

NIE MAJĄ SUMIENIA

— Po 5 hektarów?

— To zależy, ile kto ma.

— Ale hodowlę macie wspólną?

— Nie mamy żadnej hodowli.

— To co wy w końcu wspólnie robicie? .

— Łowimy ryby w stawach — odparł Król.

Zagryzłem wargi.

EKSSPÓŁDZIELCY

Rozmawiałem z kilkoma członkami ze starej spółdzielni. Pytałem się. Lepiej wam się wiedzie na swoim, czy lepiej było na wspólnej gospodarce? Odpowiadali:

Józefa Skulska. — Żyło się lepiej. Co z tego że mam 7 ha ziemi. Mąż chory. Ziemię uprawiać jak należy, ciężko. Ludzi nająć, drogo. Gospodarstwo podupada.

Jan Nowak — W spółdzielni było łatwiej o zarobek. Dniówka wychodziła niezła. Byliśmy już zagospodarowani. Jak przewodniczący powiedział, że koniec ze spółdzielnią, uciekłem. Miałem zostać, żeby spłacać kredyty, które wzięliśmy na budowę obory i stodoły? Teraz to szkoda nawet o tym mówić.

Józefa Konik i Zofia Majtczak — siostry. Pierwsze wstąpiłyśmy do spółdzielni. Nic nam wtedy nię brakowało. W domu było pieczone i ważone. Nie płaciliśmy podatków, nie było obowiązkowych odstaw, otrzymywałyśmy dodatkowe przydziały węgla i pomoc lekarską. Co roku jesienią ubiłam świnkę. Teraz o wszystko trzeba się kłopotać. Nieraz o kawałek słoniny trudno.

Komornik to osobny rozdział w obecnym życiu ekspółdzielców, oczywiście tych najbiedniejszych.

Nowak, Konikowa, Gieruń i kilku innych chłopów pracując w spółdzielni pobudowali sobie domki. Dostali kredyty na tę inwestycję. Jako spółdzielcom rozłożono im spłatę pożyczki na 20 lat. Po wystąpieniu ze spółdzielni, przyśpieszono im termin spłaty pożyczki, potraktowano ich jak chłopów niezrzeszonych. Raty stały się więc dwukrotnie wyższe niż początkowo przewidywano. Natomiast zmniejszył się dochód z gospodarstw. Któregoś dnia obudził wieś lament dzieciaków u Gierunia... Komornik zabierał im jakieś sprzęty za zaległe raty. Ludzie groźbą i prośbą skłonili komornika do zaniechania egzekucji. Ale czy na długo? Urzędnicy skarbowi nie kierują się uczuciami, mają przepisy i swoje posady.

Gieruń klnie swój los, upija się od czasu do czasu i łazi błędny wokół swoich zabudowań. Z jego podwórka widać jak na dłoni stojącą w polu pustą oborę i stodołę spółdzielczą.

U Konikowej siedział komornik tak długo, aż kobieta wróciła z jarmarku. Pieniądze, które uzyskała za świnie natychmiast zmieniły właściciela. „Gdybym potrzymała te świnki z 6 tygodni, to wzięłabym za nie dwa razy więcej" — mówi z żalem. Al co robić — urzędnicy nie chcą czekać. Dom nas zjada. Jest ciężko, panie. W domu 5 osób. Trudno wyżywić wszystkich z 2,5 ha ziemi.

Zgadzam się. Wierzę, że jest ciężko. Dlaczego nie wstąpicie do nowej spółdzielni — wtrącam.

Odpowiada: A bo my to głupie, żeby iść do takiej spółdzielni. Tu byłoby dobrze, gdyby ktoś obcy zaczął kierować spółdzielnią.

KOMU SIĘ DOBRZE WIEDZIE?

Grabowskiego nie nachodzi komornik. Dom, który sobie postawił, zwraca jedynie uwagę mieszkańców wioski. Bo okazały jest, z pełnym podpiwniczeniem i wybudowany jak na warunki wiejskie zbyt szybko. Dom ten i oborę oceniają we wsi na 150 tysięcy złotych. Skąd on na to wziął? — pytają siebie ludziska. I wokół nagłej fortuny Stanisława Grabowskiego krążą różne wieści. Przyznają, że sprytu mu nie brak, a spryt według wielu to pieniądz. Mają chyba dużo racji. Stanisław Grabowski miał pewne kłopoty z Zapolickim POM-em, w którym kiedyś pracował. Wybrnął z nich obronną ręką, lecz z pracą się rozstał. Postanowił wtedy z bratem swoim Walentym i kilku krewniakami założyć spółdzielnię produkcyjną. Była to spółdzielnia, która powstała na gruzach dawnej.

Kiedy nowi spółdzielcy zdobyli traktor i młocarnię, kiedy przyznano im stawy rybne i sad po byłej spółdzielni, idylla rodzinna skończyła się. Było ku temu wiele powodów. Po wymianie nie tylko słów brat Walenty i Henryk Rutkowski rozstali się z przedsiębiorczym krewniakiem. Stanisław Grabowski nie przejął się tym zbytnio i w rok później, tzn. w 1959 r. objął w spółdzielni funkcję przewodniczącego, księgowego i kasjera. Przyznać trzeba, że funkcje te są odpowiedzialne i na ogół intratne.

Pozostali członkowie — 20-letni Heniek Konik i 25-letni Ryszard Orzechowski, nie oponowali takiemu podziałowi stanowisk, wychodząc ze słusznego założenia, że jeżeli jest trzech pracujących w spółdzielni ludzi, to dwóch co najmniej powinno pracować. Konik i Orzechowski jeździli więc do indywidualnych sąsiadów młócić zboże i obrabiać ziemię. Robili to chętnie, bo każdy z nich chciał jaką taką dniówkę obrachunkowa wyrobić, a przecież na spółdzielczej gospodarce uczynić tego nie mogli — z oczywistych powodów. „Spółdzielcy" nie mieli własnych gruntów pod uprawę. Żaden z nich nie wniósł bowiem do spółdzielni ani ara ziemi. Starali się o resztówkę, która łakomym kąskiem leży we wsi, ale prawdopodobnie przez niedopatrzenie resztówki tej powiat dotychczas spółdzielcom nie przydzielił. Heniek Konik za niektóre roboty u chłopów przywoził prezesowi pieniądze, za niektóre zaś chłopi odrabiali na polu przewodniczego spółdzielni. Maria Mulik na przykład „pomagała" prezesowi w sadzeniu ziemniaków.

Jak wyglądały rozliczenia na prace polowe i transportowe spółdzielczym traktorem, trudno dziś ustalić. Obsługujący traktor robotnicy nie zawierali bowiem z żadnym z korzystających z ich usług chłopów umów na pracę. Godzili się na dniówkę lub „kurs". Przy takich rozliczeniach nie trudno było o pomyłki. Traktorzysta Konik w wyniku takiej pomyłki dostał w zęby i musiał przeprosić prezesa za to, iż próbował udowodnić Grabowskiemu, że 600 zł, o które się ten upominał wręczył mu już miesiąc wcześniej.

Aby udobruchać swój zespół tzn. Orzechowskiego i Konika, prezes wystąpił z wnioskiem. Spółdzielnia potrzebuje motocykl!

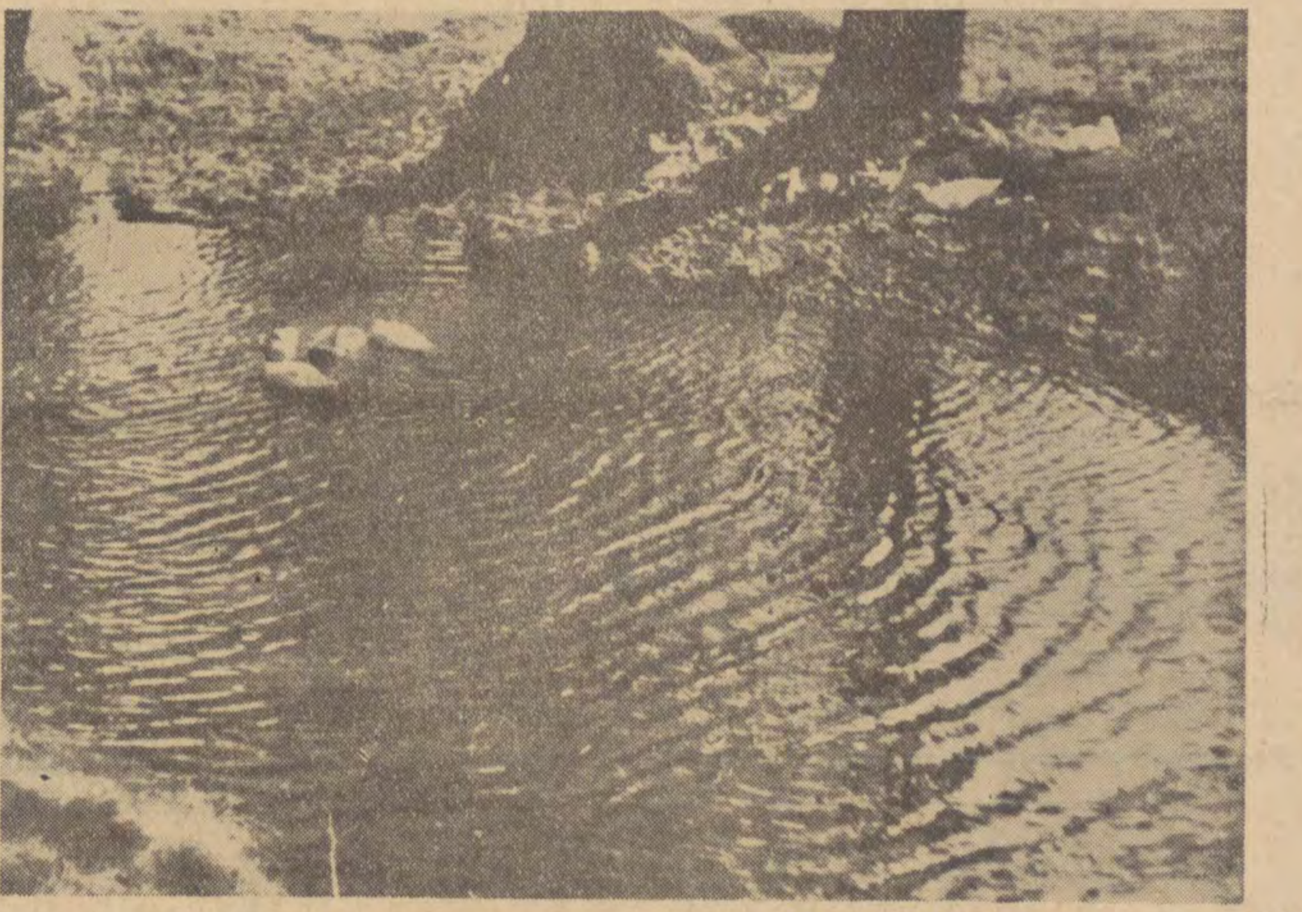

— Nie będziemy przecież za każdym razem po załatwieniu spraw spółdzielczych jeździć do Radomska traktorem — oświadczył.

Aby wykazać swoją dobrą wolę i chęć pokojowej koegzystencji, dwaj spółdzielcy poparli wniosek prezesa. Kupiono nowego „Iża", który powędrował do zagrody Grabowskiego. Nie chcąc zaś aby prezes miał kłopoty z paliwem, z spółdzielczego majątku dołożono mu jeszcze beczkę benzyny. Nie trzeba chyba dodawać, że Orzechowski i Konik ani razu nie dosiedli spółdzielczego motoru.

Grabowski miał zresztą wyjątkową umiejętność współżycia z ludźmi. Do wyczyszczenia stawów rybnych najął ze wsi ponad 10 robotników. Chłopi robili kilka dni. Grabowski przyszedł, wpuścił do stawu wodę i przystąpił do odbioru roboty. Stwierdził, że praca nie była wykonana jak należy i każdemu z robotników oberwał po kilkaset złotych. Jak mówił, za karę. Chłopi oponowali, więc kazał im włazić do wody i naprawiać „wykryte" przez siebie usterki.

Chłopi co prawda usterek tych nie widzieli, bo były zalane wodą, lecz aby nie przedłużać sporów, wzięli to, co im Grabowski wypłacił i klnąc rozeszli się do domów. Podobno różnica między uzgodnioną wartością roboty a zapłaconą wynosiła około 5 tysięcy złotych. Jak to zostało zaksięgowane — wie tylko księgowy Grabowski. Być może, wie jeszcze ktoś w powiecie, ponieważ bilansu rocznego dochodów spółdzielni prezes Grabowski nie robił wspólnie ze spółdzielcami, lecz w miasteczku powiatowym. Innych szczegółów nie przytaczam z braku miejsca. Mam je w notesie, a wielu ludzi gotowych jest je potwierdzić.

Dla mnie to wystarczy aby zatkać nos i odejść na stronę dla złapania świeżego powietrza. Sprawy te pachną niezbyt miło. Widocznie sam prezes Grabowski nie najlepiej czuł się w wytworzonej przez siebie atmosferze, bo zrezygnował w tym roku ze stanowiska prezesa, oddając je nowowstępującemu Tadeuszowi Królowi. Nie zrezygnował on natomiast z przywilejów pioniera spółdzielczości i dobroczyńcy zespołu. Nowy zespół nie zapomniał również zasług Grabowskiego, gdyż sprzedał mu uprawione przez siebie ogórki po 1 zł za kg. Przywieziono mu również spółdzielczym traktorem kilka beczek. Ogórki jako własność legalnie nabytą ekspreзes zakisił i złożył ofertę sprzedaży gospodzie w Żytnie. Tu dawano mu jedynie po 4 zł za kilogram. Wstrzymał więc sprzedaż czekając lepszej koniunktury.

Żeby nie eksploatować traktora, spółdzielcy postanowili kupić do młocki motor „S-12". Przywieźli ten motor z Radomska do GS-u w Żytnie, który miał przeprowadzić transakcję sprzedaży. Ktoś usłużny ostrzegł jednak kierownictwo GS-u, że spółdzielnia nie ma grosza na swoim koncie i handlowcy z Żytna nie chcieli inaczej sprzedać motoru jak za gotówkę. Motor miał kosztować 14 tysięcy złotych. Grabowski zaproponował wówczas, że może sprzedać swój stary motor za 8 tysięcy i na dogodniejszych warunkach, w dwóch ratach. Oczywiście ofertę ekspreзesa przyjęto. Pozbył się więc grata a spółdzielnia gotówki. Obydwie strony na razie są zadowolone. Nowe kierownictwo spółdzielni ma w ogóle wiele zmysłu handlowego. Chcąc „uniknąć" strat przy hektarowym sadzie, odziedziczonym po starej spółdzielni — nie wystawiło ono nawet dozorcy. Nie zebrano też owoców. Jak oświadczył mi obecny prezes, Tadeusz Król — więcej by kosztował stróż i zrywanie owoców, niż uzyskalibyśmy z owoców. W takiej sytuacji leżącymi pod drzewami witaminami sycą się świnie i krowy okolicznych gospodarzy. Spółdzielcy natomiast od czasu do czasu łowią w zamulonych stawach ryby.

TO JEST ZŁA ZABAWA

Nie dziwię się, że starzy spółdzielcy przyzwyczajeni do rozsądnej gospodarki kolektywnej, nie chcą mieć z nową spółdzielnią nic wspólnego. Dziwię się natomiast, że powiat utrzymuje ten fikcyjnie stworzony płód spółdzielczej koniunktury. Znam fakty, że za marnowanie kilkuzłotych społecznych wartości sypie się winnym surowe kary. Tym bardziej pojąć nie mogę, jak to się dzieje, że państwowe pieniądze tak rozrzutnie pcha się w tę spółdzielnię nie przynoszącą ani materialnej ani politycznej korzyści. Na razie bowiem spółdzielcy, którzy nie są spółdzielcami i nimi nigdy nie byli, korzystają tylko z przywilejów przyznanych zespołowym gospodarstwom.

W Pągowie, bowiem, nie ma spółdzielców. Są indywidualni gospodarze korzystający tylko z tych dóbr, które dały im władze powiatowe w Radomsku. Swoją ziemię trzymają natomiast w garści. Czynią to wbrew statutowi, który ich zobowiązuje do wspólnej uprawy. A statut każdego zrzeszenia, jeśli się nie mylę, jest sprawą zasadniczą. Taka zabawa w podobną „spółdzielnię" jest rzeczą zbyt kosztowną i absolutnie niepotrzebną.

Pocieszającym natomiast zjawiskiem w Pągowie jest utworzenie tam kółka rolniczego. Przewodzi mu działacz partyjny i jeden z byłych przewodniczących starej spółdzielni K. Kluza. Do kółka wstąpiło już 15 osób w większości dawni b. spółdzielcy, w tym siedmiu członków partii. Po porażce, jaką ponieśli przed kilku laty, zbierają się ponownie. Zaczynają od początku, ostrożniej. Żal im dobytku, który kiedyś stworzyli, a po który sięgają niesumienni sąsiedzi. Prawdopodobnie w tym czasie, kiedy ukaże się ten reportaż — będą już mieli własny traktor i maszyny. Wbrew anegdotycznej przypowieści cytowanej na początku — biedni ludzie przestaną być głupcami.

BOGUSŁAW HOLUB

ZDJĘCIA: Janusz Skoszkiewicz

MARIAN BIELECKI

FORTECE *czy* KLOCKI?

Nie ma chyba w naszym kraju bardziej poważnego i drastycznego problemu niż kwestia mieszkaniowa. Mieszkanie jest życiowym, niekiedy gardłowym problemem mieszkańców Łodzi. Tysiące podań wypełniają szafy i szuflady wydziałów kwaterunkowych setki skarg i zażaleń, próśb i interwencji w prezydiach rad narodowych i w komitetach partyjnych dotyczą spraw mieszkaniowych. Treścią wielu rozpraw sądowych są spory między współlokatorami jednego mieszkania, powstałe wskutek ciasnoty, nadmiernego zagęszczenia i braku przestrzeni.

A jednocześnie, ilekroć na jakimkolwiek zebraniu znajdzie się ktoś, kto wysunie postulat zróżnicowania standardu budowanych mieszkań, tylekroć spotka się z szyderczymi uśmiechami, ze zgryźliwymi uwagami i złośliwymi propozycjami: A może by pan zechciał się przeprowadzić do mieszkania bez wanny, bez strychu, bez kuchni itd?...

Właśnie z taką propozycją spotkałem się onegdaj w pewnym towarzystwie, kiedy usiłowałem bronić tezy o potrzebie zróżnicowania standardu budownictwa mieszkaniowego w celu wygospodarowania środków umożliwiających zwiększenie rozmiarów i tempa budownictwa.

Problem bowiem polega na tym, czy w obecnych warunkach, dysponując określonymi funduszami i materiałami, należy je przeznaczyć np. na budowę 1.000 superkomfortowych izb mieszkalnych, czy też należy nieco obniżyć standard, zrezygnować z pewnych wygód i uzyskać np. 1.200 izb?

Co to znaczy — nieco obniżyć standard?

W dotychczasowym naszym budownictwie tzw. DBOR-owskim, niemal 90

proc. budynków posiada centralne ogrzewanie, a tymczasem w jednym z najbogatszych krajów współczesnej Europy — w NRF połowa nowoczesnych budynków ogrzewana jest piecami. W pięciu krajach południowej Europy, które miałem okazję niedawno zwiedzić, a więc w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, w Bułgarii i Jugosławii bardzo poważny odsetek nowoczesnych budynków ogrzewa się piecami.

W polskim budownictwie nawet kawalerki mają własne łazienki i kuchnie. A tymczasem w bardzo zamożnej Holandii wieloizbowe mieszkania w masowym budownictwie państwowym wyposażone są w prysznice. Wiele zaś mieszkań, zamiast oddzielnych izb kuchennych, posiada wnęki kuchenne. Podobnie rzecz ma się we Włoszech (w masowym budownictwie) oraz w innych, wyżej wspomnianych krajach Europy południowej.

Owszem — każdy to rozumie, że jest o wiele przyjemniej mieszkać w domu, w którym jest centralne ogrzewanie, są łazienki z wannami i prysznicami, podłogi z klepki dębowej, specjalne pralnie, oddzielne schowki na wózki dziecięce, windy, nawet w niskokondygnacyjnych budynkach, itd. Ale jeżeli np. 5 osób w pewnych wyjątkowych okolicznościach otrzyma przydział jednego bochenka chleba na dzień to każdy uzna za właściwe zmniejszenie racji chleba i rozdzielenie bochenka między pięciu.

W świetle tego wszystkiego dochodzę do wniosku, że w Polsce buduje się fortece, a nie domy mieszkalne. Nasze bloki to są raczej „twierdze mieszkalne", o ciężkich konstrukcjach i grubych murach, obliczonych na setki lat. Tymczasem za granicą wznosi się teraz lekkie budynki o cienkich ścianach, których trwałość zapewne będzie krótsza niż naszych. Tak, ale do ich budowy zużywa się o połowę mniej materiałów budowlanych.

Czy lekkość i krótkotrwałość budynku jest wadą? Można nad tym dyskutować.

U nas panuje powszechne przekonanie, że domy trzeba budować na sto lat. Czy to słuszne? Przecież postępy cywilizacji są tak ogromne, że to co nam odpowiadało jeszcze 15 lat temu, uważa się dziś za przestarzałe. Można przyjąć za pewnik, że styl życia i wymagania co do formy i kształtu mieszkania za kilkadziesiąt lat będą inne niż obecne. Stąd też budowanie „twierdz mieszkalnych" wydaje się niepotrzebnym marnostrawstwem materiałów. Czy komuś przyjdzie dziś na myśl budować zamki warowne?

Ale przejść na inne, lekkie formy budownictwa w naszych warunkach oznacza rewolucję w budownictwie, potrzebę zorganizowania prawdziwie przemysłowego budownictwa.

Niestety, mimo tego że ostatnio często używa się u nas w prasie i w potocznej mowie terminu „przemysłowe budownictwo", nie wszyscy jeszcze dokładnie rozumieją, czym ono ma się różnić od dotychczasowego — rzemieślniczego. Czy można mówić o przemysłowym budownictwie wtedy, gdy jest ono droższe od tradycyjnego? Czy jest do pomyślenia, aby buty czy ubranie, szyte fabrycznie, było droższe od obuwia czy odzieży szytej u szewca czy krawca?

I tak jak nie można było zaspokoić potrzeb naszego rynku w zakresie obuwia i odzieży, dopóki nie rozwinięto w Polsce wielkiego przemysłu obuwniczego i odzieżowego, tak też trudno będzie zaspokoić potrzeby mieszkaniowe bez szeroko rozwiniętego budownictwa przemysłowego.

Co to znaczy budownictwo przemysłowe? Jeden z najwybitniejszych naszych architektów — prof. Jerzy Hryniewiecki na tak sformułowane pytanie, odpowiedział: *Chodzi o taką organizację produkcji, aby jak samochody z taśmy przemysłowej schodziły podstawowe „komórki" czy też „klocki" całkowicie wyposażone dla celów mieszkalnych, które następnie będzie można montować w mniejsze lub większe jednostki mieszkalne typu domu jednorodzinnego lub też wielkich bloków mieszkalnych.* Jako namiastkę takiego budownictwa prof. Hryniewiecki wskazał produkcję gotowych mieszkalnych przyczep samochodowych, jak też spuszczane z helikopterów lekkie ciepłe i gotowe do zamieszkania baraki dla stacji polarnych.

Oczywiście, że jest to sprawa przyszłości, że dla takiego budownictwa musi być uprzednio szeroko rozwinięty przemysł materiałów budowlanych, że muszą być stypizowane elementy budowlane. Ale że to jest cel, do którego należy dążyć — nie ulega wątpliwości.

Na razie na łódzkich placach budowy dążenie do tego celu nie jest widoczne. Nie świadczy o tym stosowanie około 100 typów ram okiennych, ani fakt, że elementy stypizowane stanowią zaledwie 3 proc. używanych w budownictwie materiałów. Oczywiście, że odpowiedzialność za to spada nie tylko na pracowników budownictwa, lecz również na przedsiębiorstwa wytwarzające urządzenia kuchenne, kąpielowe, sanitarne itd. Niemniej jednak — należy to jasno powiedzieć — za tym wszystkim kryje się lęk niektórych architektów przed typizacją w budownictwie i „bezrobociem" w biurach projektowych. Lęk — dodajmy zaraz — nieuzasadniony, gdyż mowa jest o typizacji e l e m e n t ó w do budowy, a nie do budynków. Przecież z tych samych elementów każdy architekt jest w stanie stworzyć wiele różnych wariantów. Ale bez typizacji elementów nie może być mowy o masowym, przemysłowym budownictwie, jak bez typizacji części samochodowych, nie byłoby masowej, taśmowej produkcji samochodów.

Czy ktoś oficjalnie występuje przeciw typizacji? Nie. Rzecz tylko w tym, że na razie jest ona aktem dobrej woli pracowników budownictwa, chodzi zaś o to, by stała się aktem normatywnym, bezwzględnie obowiązującym.

Sprawa jest zbyt poważna, aby można było tolerować dotychczasowy stan rzeczy. Utrzymanie obecnego standardu w budownictwie i upieranie się przy dotychczasowym systemie budowy „twierdz mieszkalnych" oznacza skazanie tysięcy ludzi na długoletnie wyczekiwanie na mieszkanie. Tu już nie chodzi o kilkuprocentową obniżkę kosztów budowy, tu chodzi o rewolucję w budownictwie, o obniżenie kosztów do połowy. I dodajmy, że to jest wcale realne.

JULES SUPERVIELLE

Tłumaczył: WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

Otoczony dom

Przez mym oknem góra się waha:
Jakże tu wejść, gdy jest się górą,
Górą wysoką, skałą z kamieniami,
Kawałkiem ziemi, pragnącym nieba?
Listowie boru dom mój otacza:
Cóż lasy mogą powiedzieć w tej sprawie?
Nasz świat gałęzi i nasz świat liści,
Cóż on tu może w pokoju z łóżkiem białym
Przy tym lichtarzu święcącym u góry
I przed tym kwiatem zanurzonym w wodzie,
Cóż on pomoże temu człowiekowi z głową podpartą,
Co jego ręce, wśród czterech ścian piszącej?
„Wcale nas nie widział, on szuka w sobie
Drzew rozmaitych, znających jego mowę"
A rzeka mówi: nie chcę nic wiedzieć
Płynę dla siebie, ludzie mnie nie obchodzą
Nigdy mnie tam nie ma, gdzie się komuś zdaje,
Komuś, kto mnie wyprzedza, bym się nie spóźniła;
Tym gorzej dla ludzi, co po ziemi chodzą,
Oddalają się i powracają wciąż tym samym krokiem.
Gwiazda mówi sobie: Wiszę na końcu nitki,
Jeśli nikt o mnie nie myśli, nie chcę istnieć dłużej.

Rys. Maria Rumińska

Rozbicie okrętu

Gdzieś blisko stół, gdzieś daleko lampa
W powietrzu zagniewanym nie mogą się odszukać,
A na horyzoncie plaża wyludniona.
Człowiek wśród fal podnosi ramię i woła: Na pomoc!
Echo mu odpowiada: „Co pan przez to rozumie?".

Rys. Maria Rumińska

Dla Alfonsa Reyes

Pozostały przy życiu

Gdy na dnie mórz topielec się budzi,
A serce jego drży jak liść osiki,
Jakiś rycerz w podskokach do niego się zbliża,
Oddycha lekko i daje znaki, aby go się nie bać,
Muska twarz topielca pękiem żółtych kwiatów,
Ucina sobie rękę, lecz kropla krwi nawet nie wytryska.
Ręka pada w piasek i znika bez śladu.
Za chwilę odrasta ręka taka sama i palce znów żyją.
Topielec się dziwi, że może dosiąść konia
I poruszać głową na prawo i lewo, jak w kraju ojczystym,
Jakby wokół była wolność, równina olbrzymia
I nikt mu nie bronił, wyciągać ręki po owoce lata.
Więc to jest śmierć, ta rozkosz ogromna
Która idzie ku nam jak łaska zaćmiona?
Czy to ja topielcem wśród wodorostów na koniu błądzącym
Który widzi odmianę nieba, w trudzie stworzonego baśniami?

Sprawy Rodzinne

Instytucja pod ochroną- dlaczego?

ROMAN ŁOBODA

I

Rodzina — problem zawsze aktualny i szeroki; był nie tylko poddawany częstym dyskusjom, ale i wiele rozpraw książkowych mu poświecono. Publikacje te dotyczą wielu krajów, między innymi Włoch, które wyczerpująco rozpracowały problem rodziny i pedagogiki oraz Francji, której publicystyka wszczęła wielkie larum o kryzysie rodziny, a myśmy tę panikę mechanicznie przenieśli na polski grunt, zresztą jak dużo innych fascynacji francuskich.

Francuzi mieli wiele podstaw do wszczęcia alarmu, co im później wyszło na zdrowie. My, jak zwykle idąc za modą, znudziliśmy się szybko i przestaliśmy o tym mówić, co nam mniej wyszło na zdrowie.

Zatem sprzeczność w ocenie „chodliwości problemu" między Henrykiem Dinterem (moim przedmówcą) a mną jest tylko pozorna. On myślał o niedostatecznym naświetleniu problemu w kraju, ja zaś uważam zagadnienie za dość już wyczerpująco omawiane w ogóle.

II

Postępujący rozwój cywilizacji, stała modyfikacja kultury i laicyzacja obyczajów nie pozostają bez wpływu na oblicze rodziny i perspektywy stabilizacji, co z kolei daje się odwrócić.

Moi preopinanci rozwijając dyskusję, powoli przenieśli punkt ciężkości z rodziny jako struktury na jedną z głównych jej funkcji tj. wychowanie dzieci i młodzieży oraz na zagadnienia urządzeń komunalnych, które niewątpliwie utrudniają albo ułatwiają życie rodzinne.

Chciałbym wrócić do sedna sprawy, nie wycofując uwagi, że temat jest bardzo stary i mocno nadszarpnięty przez publicystów, naukowców a nawet polityków — co stwarza wielkie niebezpieczeństwo mówienia truizmów a czego prawdopodobnie i ja nie uniknę.

Wypowiedziano na temat rodziny mnóstwo uwag, sądów, sformułowań i tez mniej lub więcej śmiałych, zawsze jednak osadzonych w w epoce i tyczących konkretnych modelów ekonomicznych i społecznych.

Z tego też powodu rewelacji nie ogłaszano. Nikomu przecież w średniowieczu i w krajach cywilizowanych nie przyszło do głowy postulować czy tylko rozgłaszać, że głową rodziny powinna być kobieta. Niechże się dziś znajdzie śmiałek jawnie i na serio walczący piórem o wielożeństwo! Wielu by zapewne głosowało za nim. Gdyby dopuszczono do plebiscytu — tylko nie jawnie. Nad płochymi głowami wisi jednakże miecz socjologii.

Owóż socjologia poucza, że podstawową komórką we współczesnym społeczeństwie jest rodzina. Nie zapomina oprzeć się przy tym na historii, ekonomii i polityce. Z tych zaś rodzi się produkt dodatkowy — etyka i moralność.

Ale jeszcze nie koniec tego dostojnego korowodu nauk: bo oto w górze, nad lokami szlachetnych dziewic, unosi się powiewna psychologia; a w dole, grubym korzeniem szyta, biologia. Od której tu zacząć?

Zanim wybierzemy — malutka herezja. Nie mogę jakoś pojąć, jak w dobie atomu i cybernetyki dalej podstawową komórką społeczną ma być rodzina. Gorączkowo szukam mniejszych układów i wpadam w banał, bo mniejszym układem jest tylko człowiek: a więc kobieta, mężczyzna, dziecko.

Biologia, od której zaczniemy, upiera się twardo przy tym, że podstawą utrzymania gatunku jest popęd płciowy wywodzący się z dążności do podtrzymania gatunku. A człowiek jest, jak wiadomo, gatunkiem najwyżej przez człowieka notowanym. Należy zatem go podtrzymywać, do czego, jak sami wiemy, wystarczą normalni osobnicy płci odmiennej — kobieta i mężczyzna. Biologia jest okrutna i cyniczna. Niczym więcej się nie martwi. A co dalej?

— To już nie ja — powiada biologia — to koleżanka.

— A któraż to koleżanka, jeśli można wiedzieć?

Pokazuje palcem, a my nikogo nie widzimy.

— Przepraszam bardzo, to pan tu...

— A o co chodzi?

— O te dzieci, o ich wychowanie.

— Co pan nie wie? Każde dziecko wie. Wiadomo, społeczeństwo!

— No dobrze, a ciepło, wychowanie, kształcenie serca...

— Aaaa... to już nie ja, to koleżanka.

III.

Koleżanka socjologia jest bardzo ważna. Mówi tonem nie znoszącym sprzeciwu: pobierają się jednak ludzie i to masowo. Może z przyzwyczajenia? Jakże ktoś z przyzwyczajenia może się pierwszy raz żenić. To może z takiego dziejowego, z tradycji? Słusznie! Z tradycji wyzysku człowieka przez człowieka. Czyli z wygody. Jeden człowiek sobie wymyśli, że będzie miał drugiego, który po zasadniczych obowiązkach małżeńskich jeszcze i skarpetki wypierze, koszulkę poprasuje, obiadek i różne inne pożyteczne czynności wykona; a on tymczasem gazetkę, karcięta — a jak ma się to serce, to i pochwalić można.

Drugi człowiek sobie umyśli, że będzie miał pierwszego, który po zasadniczych obowiązkach zawodowych, a i często małżeńskich jeszcze ten węgiel z piwnicy przyniesie, meble poprzesuwa, kurczaka zarżnie i inne pożyteczne czynności wykona łącznie z dodatkową pracą zarobkową, a ona tymczasem trochę z „Przyjaciółką", trochę z przyjaciółką, do fryzjera, do MHD — a jak ma się to serce, to i pogłaskać można.

To są te malutkie i powszechne bodźce ekonomiczne, o których wspomniał Chyliński. Jeżeli modele życia zbyt twardo są egzekwowane przez obie strony, konflikt gotowy. Jeżeli przez jedną stronę, to niewolnik — ukształtowany.

Należałoby więc przypuszczać, że i te nasze mizerne a złudne (złudne, dlatego te częste rozwody) bodźce do małżeństwa zemrą śmiercią naturalną w miarę rozwoju cywilizacji.

Nic nie pomogą ani telewizory ani lodówki, ani inne wspólne uciechy zacisza domowego.

Otóż i zmierzch małżeństwa, a zatem i rodziny pojętej konwencjonalnie. Czyste bluźnierstwo! Ale to nie ja, to mój wywód.

Lecz jeszcze jest szansa. — Jest tam kto?!

Koleżanka psychologia ma długie nogi. Bądź mi towarzyszką, o obywatelko, gdyż jestem samotny!

— Idź pan do klubu.

— Cholera z klubem. Serca mi trzeba.

— Na jeden raz?

— Nie, na więcej.

Koleżanka psychologia mi pomoże. Ona wie, że człowiek nie chce być sam. Ona wie, że człowiek musi do czegoś wracać. Ale do czego? Do symbiozy? Zły termin! — Do intymnego psychicznie i fizycznie obcowania ze sobą dwojga ludzi płci odmiennej, na zasadzie naturalnych skłonności.

Do wytwarzania nie tylko tych dóbr materialnych jak: bieliźniarka, sypialka i „Belweder", ale i tych, z których składają się trwałe wartości rozwijającego się człowieka.

IV.

Spróbujmy zawrzeć powyższe w jednym słowie — miłość. I cóż widzimy? Miedzianą, spatynowaną monetę ze startym wizerunkiem. Zredukujmy jednak to wzniosłe słowo do bilonu obiegowego, dostępnego wszystkim: a więc dobór płciowy, zgodność upodobań, pokrewne u obu partnerów wyobrażenia modelu życia, potencjalna możliwość budzenia sobą zainteresowania przez długi okres czasu.

Dopiero po spełnieniu tych warunków zaczyna się społeczny sens ochrony rodziny; to wszystko, na co tak duży nacisk położyli Chyliński i Jażdżyński. (Rzadko mówi się — a wymaga to osobnego omówienia — o problemie kultury erotycznej. W tym względzie mamy wiele zaległości do odrobienia, szczególnie jeśli chodzi o wychowanie młodzieży). Wiemy, że tego typu małżeństw jest niezbyt wiele. Wiemy również, że aż nazbyt dużo jest rozdrażnień, zniechęcenia, apatii, kompleksów neurastenii i chorób psychicznych, które mają swoje źródło w niewłaściwym doborze ludzi płci odmiennych. Stąd, między innymi, konflikty natury socjalnej i etycznej, a te tak bardzo ważą na naszym życiu społecznym. Pedagogika w przeprowadzaniu swoich racji powinna od tego zacząć.

Społeczeństwo nie może sobie pozwolić na luksus ochrony tylko rodzin o zdrowym rdzeniu. Musi otaczać opieką wszystkie, jeżeli zakłada, że podstawową komórką społeczną jest rodzina.

Wierzę jednak, że w przyszłości obrona związku dwojga ludzi obojętnych sobie albo wrogich będzie uznana za bezcelową lub zgoła niemoralną.

* * *

Czy wiecie, że zapobiegać krzywicy może każda matka pod warunkiem, iż opiekuje się swoim dzieckiem w sposób racjonalny. Krzywica występuje u dzieci wskutek niewłaściwego odżywiania, braku powietrza, słońca i ruchu. W Łodzi 4.535 dzieci chorowało na krzywicę w 1959 roku. Dotyczy to dzieci obojga płci do lat 2.

Niesnaski rodzinne osłabiają czujność rodziców w opiece nad zdrowiem dzieci.

Debilizm, imbecylizm i padaczka stanowią około 13 proc. wszystkich schorzeń psychicznych, co w dużej mierze jest dziełem rodziców alkoholików, narkomanów, wenerycznie chorych itp.

Natomiast 50 proc. chorób psychicznych w ogóle to schizofrenia, której źródło i tło rozwoju stanowi społeczeństwo, a zatem i rodzina.

Około 100 ludzi na 100 tys. mieszkańców Polski choruje psychicznie i nerwowo.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

ZWIERCIADŁO najmłodszej poezji

Takim zwierciadłem był „IV-ty Festiwal Młodej Poezji Polskiej" w Poznaniu, odbyty w dniach 12 i 13 bm. Był nie tylko zwierciadłem najmłodszej poezji, ale i najmłodszych poetów, gdyż — niestety! — jak dotąd nie zawsze twórca pokrywa się w swych wymiarach, że tak powiem, humanistycznych ze swym dziełem. Osobno zatem przyjdzie powiedzieć słówko o poezji, a osobno o poetach. Bowiem nieraz są to zagadnienia całkowicie od siebie różne.

Inicjatorami tych corocznych festiwali jesiennych są członkowie poznańskiej grupy poetyckiej „Wierzbak", a zwłaszcza jeden z najczynniejszych jej członków, organizator o szczęśliwej ręce, poeta i publicysta, Ryszard Danecki. Grupa ta, zaczynając bardzo skromnie, bo od wydania wspólnego almanachu wierszy pt. „Liść człowieka", w którym znalazły się wiersze, prócz wyżej wymienionego, Mariana Grześczaka, Macieja Kozłowskiego, Józefa Ratajczaka, Konrada Sutarskiego i Eugeniusza Wachowiaka, zyskała wkrótce gorące poparcie miejscowych władz i wysoki protektorat moralny najstarszej i najwybitniejszej dziś poetki polskiej, mieszkającej w Poznaniu, Kazimiery Iłłakowiczówny.

Od początku śledziłem rozwój tej grupy, dając temu wyraz w prasie i uczestnicząc w urządzanych przez nią festiwalach w różnych funkcjach doradczych i arbitralnych. Muszę przyznać z satysfakcją, że żadna z grup poetyckich, powstałych w ostatnich latach w Polsce nie odegrała w swym środowisku tak znacznej i doniosłej roli jak właśnie „Wierzbak". Poza coraz poważniejszym dorobkiem własnej twórczości, grupa ta wniosła płodny ferment w ogólny ruch najmłodszej poezji polskiej. Jest to jej trwała zasługa, której żaden historyk literatury nie będzie mógł w przyszłości pominąć.

W porównaniu z ostatnim IV-tym Festiwalem poprzednie były zaledwie próbami określenia swego charakteru. Ostatni, korzystając z doświadczeń poprzednich, był już, można powiedzieć, pełnym sejmem młodych i najmłodszych poetów polskich w sympatycznym kontakcie, że tak powiem, z poetami średniego i starszego pokolenia. Festiwal miał charakter ogólnokrajowego zjazdu poetów. Nie było środowiska lub grupy poetyckiej, które nie miałyby swych reprezentantów na zjeździe. IV Festiwal był najliczniejszy i najlepiej zorganizowany.

Gorzej natomiast zorganizowany był pod względem merytorycznym. Odbiło się to przede wszystkim w samym programie zjazdu i zbyt obfitym, jak na dwa dni swego trwania, i zbyt chaotycznym. Taktycznym błędem organizatorów było wyłonienie poza festiwalem jury nagrody za najlepszy poetycki debiut tegoroczny i przyznanie tej nagrody przed rozpoczęciem zjazdu, z czego wynikało, że praktycznie zjazd, chociaż firmował tę nagrodę, nie miał na nią żadnego wpływu. Otrzymał ją, jak wiadomo, członek grupy „Wierzbak", Marian Grześczak za tomik *„Lumpenezje"*. Najpoważniejszym jego konkurentem był łódzki poeta Roman Loboda ze swym tomikiem *„Szósty smak"*. Właściwymi imprezami festiwalu były dwa konkursy z nagrodami. Jeden dla wszystkich uczestników zjazdu, drugi dla najmłodszych poetów nie posiadających jeszcze własnego zbioru. W obu tych konkursach najmłodsi poeci łódzcy zaznaczyli swą obecność, zdobywając bądź wyróżnienia, jak Konrad Frejdlich w pierwszym konkursie, bądź nawet dwa pierwsze miejsca w drugim, jak Marek Wawrzkiewicz i J. H. Wiśniewski. Wszyscy drukują w „Odgłosach".

Uczestniczyłem w jury pierwszego konkursu, na który przysłano około 200 utworów (były wśród nich i całe poematy) 102 autorów. Z satysfakcją stwierdzam, że w porównaniu z poprzednimi konkursami, poziom utworów tym razem był stosunkowo wysoki. Także tematycznie i formalnie bardzo różnorodny. Mniej eksperymentów, więcej ekspresji. Artyzm wiersza podporządkowany ściśle treści. Ta miła niespodzianka zaskoczyła wszystkich jurorów bez względu na znaczne różnice ich gustów i wyznawanych przez siebie poetyk. W świetle tej opinii obraz najmłodszej poezji budzi jak najbardziej optymistyczne nadzieje na przyszłość.

Gorzej natomiast z jej twórcami, którzy w przeciwieństwie do swej poezji nie uzyskują tak pełnej aprobaty. Być może dlatego, że poetą się n i e j e s t, poetą się b y w a. I częściej się nie jest, niż bywa. I gdy się nie jest poetą, bywa się nieraz pijanym awanturnikiem, wyzutym z wszelkiego wstydu i ambicji, chełpiącym się publicznie swym cynizmem i brakiem jakiegokolwiek poczucia przyzwoitości. Mordobicie publiczne to podobno najnowsza moda wśród sfer artystycznych stolicy. No, ale tam robią to na własny rachunek i własną odpowiedzialność. Inaczej przedstawia się sprawa, gdy takiemu amatorowi publicznego skandalu i pijanego rozrabiactwa Rzeczpospolita opłaca podróż, dwudniowy wikt i pokój w hotelu. Oczywiście, były to wypadki sporadyczne, ale tym niemniej przykre, że spotykające się z całkowitą obojętnością trzeźwej i poważnej reszty młodego i najmłodszego audytorium twórców.

Także słaby ich udział w dyskusji nad dwoma referatami zjazdu nie świadczy pochlebnie o ich odwadze czy też tylko umiejętności wypowiadania własnych sądów. Na temat „racjonalistycznego widzenia poetyckiego", zaproponowanego im co prawda dosyć mętnie i niezachęcająco przez obu referentów, młodych krytyków, Lipskiego i Kmitę, niewiele, a właściwie nic nie mieli do powiedzenia. Gdyby niektórzy z nich tak słabo i rzadko pili wódkę, jak zabierali głos i dyskutowali — byłoby wszystko w jak najlepszym porządku. Tymczasem dyskutowali raczej poeci starsi i najstarsi — z referentami i sami z sobą. Rozbito mit jedynowładztwa poetyki Przybosia i tzw. awangardy w poezji najmłodszych, rozwiano wiele nieporozumień na temat nowatorstwa i jego źródeł we współczesnej poezji polskiej, zwrócono uwagę na głębsze i szersze zaplecze inspiracji w tradycjach rodzimej i zagranicznej literatury, w aktualnych zagadnieniach dnia bieżącego.

W sumie IV-ty Festiwal Młodej Poezji Polskiej w Poznaniu stał pod hasłem moralnej odpowiedzialności poety z tytułu społecznego znaczenia jego utworu. Sądzę, że jest to żywotny problem nie tylko najmłodszej poezji, ale i współczesnej literatury w ogóle.

ZABAWY

(Dokończenie ze str. 2)

zostałych instytucji, eksportujących i propagujących za granicą polską sztukę, jest podobno smutnym nieporozumieniem. Oto, co pisze o tym Kisiel w swoich „Gwoździach w mózgu":

„O Polsce nic się tam już nie wie i nie mówi, i to pomimo znanych sukcesów Filharmonii Narodowej, „Mazowsza" czy polskich malarzy z Lebensteinem i Kobzdejem na czele, które to sukcesy zostały propagandowo zupełnie zmarnowane. W propagandzie i informacji biją nas nie tylko kraje duże i bogate, lecz także Rumunia i Bułgaria, których miejscowości nadmorskie są już na Zachodzie wręcz sławne, a których muzyka trafiła obecnie nawet do moich ulubionych grających szaf. (...) Na wielu zagranicznych, zwłaszcza amerykańskich uniwersytetach powstały lub powstają obecnie katedry slawistyki, a nawet zgoła literatury polskiej. Cóż jednak z tego, kiedy nie mają one ani polskich książek, ani płyt i na próżno dopraszają się o odpowiednie katalogi, czy o jakieś egzemplarze okazowe".

Sytuacja jest więc raczej smutna, eksportujemy dyrygentów a nie eksportujemy muzyki, wysyłamy śpiewaków a nie wysyłamy książek, reklamujemy „Mazowsze", a nie reklamujemy — jak pisze Kisiel — „Warszawskiej Jesieni". Wyłożony przez Kisiela projekt utworzenia instytucji, która zajmowałaby się propagowaniem i eksportowaniem naszych dóbr kulturalnych (bo dotychczas te funkcje były rozdzielone) jest więc chyba dość rozsądny.

ERAZM

Wiadomości z zapiecka

Jest w zachodnim Berlinie kawiarnia — ogródek, czynna przez okrągły rok. Nie dzieli jej od ulicy żadna, nawet ażurowa ścianka, a jednak w czasie mrozów utrzymuje się tam temperatura pokojowa. Źródłem ciepła są świecące z góry lampy — tzw. promienniki podczerwieni.

Iimo, iż rzecz wygląda szokująco, i u nas ten system ogrzewania jest znany. Stosuje się go m. in. w suszarniach przemysłowych czy w chlorowniach na stacjach pomp.

W Szwajcarii, gdzie energia elektryczna jest tania a tradycyjne paliwo — drogie, stosuje się czasem ogrzewanie przez... chłodzenie, dokładniej mówiąc — na zasadzie tzw. odwróconego obiegu chłodniczego. Otó rozprężona para amoniaku ma temperaturę -40 stopni. Jeśli wyprowadzimy ją teraz rurą na zewnątrz domu, gdzie np. panuje mróz 20-stopniowy, para „ogrzeje się" do -20 stopni. Po czym następuje sprężanie, które nadaje parze ciepłotę +60 stopni. Po ogrzaniu pomieszczenia będzie się ona znowu rozprężać. I tak dalej. Ten system ogrzewania nie wymaga żadnego paliwa!

W ostatnich latach ubiegłego wieku pewien Francuz, właściciel fermy kurzej miał nie lada kłopoty. Zimą musiał on w kurniku palić w piecu, w efekcie czego kury piekły mu się żywcem. Wystawił więc piec na zewnątrz, na nim umieścił kociołek z wodą i przeprowadził od niego rury do kurnika. Ze zdumieniem spostrzegł, że woda krąży swobodnie bez pompowania. W ten sposób, przez przypadek, stał się on wynalazcą tzw. „grawitacyjnego centralnego ogrzewania wodnego".

„Prototypy" centralnego ogrzewania znajdowano już w ruinach fortyfikacji rzymskich — w postaci kanałów do przepływu ciepłego powietrza. Podobny system ogrzewania ma dziś kościół ewangelicki w Łodzi.

W ogóle cała tradycja ogrzewania „bezdymnego" wywodzi się oczywiście od Rzymian, którzy po przewiewnych mieszkaniach rozwozili na taczkach nagrzane uprzednio w ogniu kamienie.

Minęła już era bloków z centralnym ogrzewaniem, opalanych piecami z powodu nieukończenia na czas kotłowni osiedlowej. Ostatnie takie „rekwizyty", to bloki w dyspozycji wojska przy Al. 1 Maja.

(Dokończenie ze str. 11

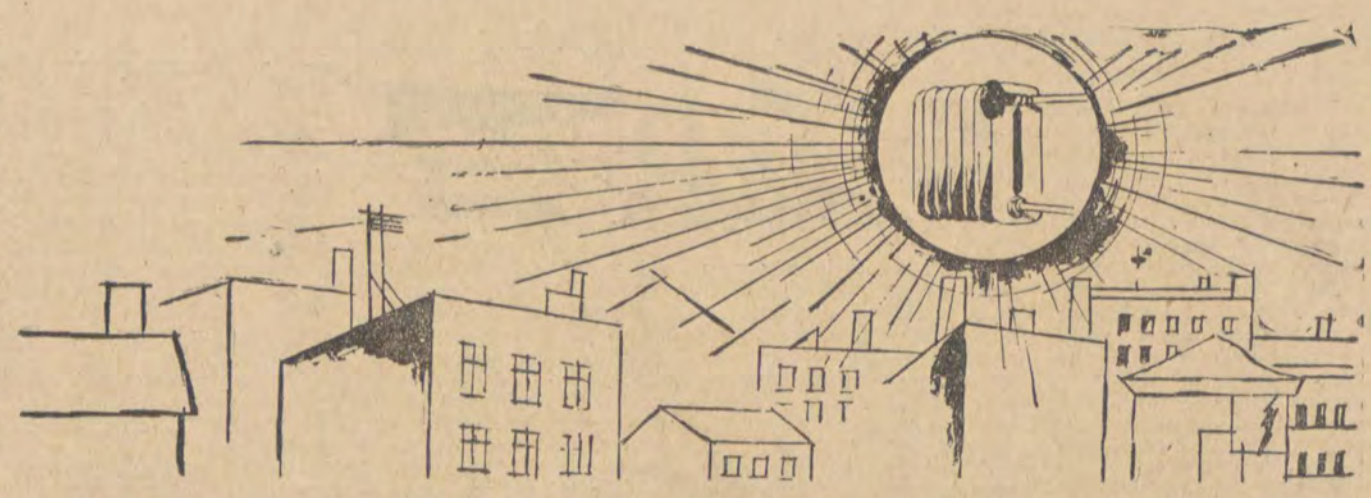

BYLE DO WIOSNY
czyli dlaczego twój kaloryfer nie grzeje?

reguły nie może podołać zleceniu. Dobiera sobie zatem do pomocy inne przedsiębiorstwa, tzw. „podwykonawców".

W ten sposób kotłownię osiedlową buduje kto inny, sieć zewnętrzną — kto inny, instalacjami wewnątrz budynków zajmuje się wreszcie ktoś trzeci. Wszystko to oczywiście według projektów, wykonywanych zazwyczaj przez co najmniej trzy biura projektowe, często nawet z różnych miast.

Wiadomo, że armie są zawsze najsłabsze na „stykach". Tak jest i w naszym wypadku.

Oto np. blok 26 na Bałutach. Przez kilka lat po zbudowaniu bloku kaloryfery nie grzały jak należy. Kazano mieszkańcom uszczelniać okna, potem nawet dom otynkowano — i nic nie lepiej. Wreszcie ktoś zajrzał na „styk", gdzie łączyła się instalacja zewnętrzna z wewnętrzną. Okazało się, że zasilanie w ciepło jest połączone bezpośrednio z odpływem. Blok został po prostu wyeliminowany z sieci cieplnej.

Oto cztery bloki osiedla Koziny — nr 18, 37, 43, i 52. Przez 2 zimy mieszkańcy tych bloków mieli zimne kaloryfery. Wreszcie „zbuntowali się" — przestali płacić za c.o. i napisali list do przewodniczącego Prezydium RN. Ruszyły w teren ekipy i okazało się, że „styki" na zetknięciu sieci zewnętrznej i wewnętrznej są źle uszczelnione. To samo stwierdzono później i na Nowym Rokiciu.

No dobrze, zapytacie, czy jednak na postawienie takiej prostej diagnozy trzeba było czekać dwa lata i przez ten czas trzymać mieszkańców w lodówkach? Czy nie można było zbadać sytuacji po pierwszych sygnałach?

Takie proste to niestety nie jest. Bo niby kto miał zbadać? Opiekę nad osiedlem Koziny sprawuje MZBM, który jednak do tej pory nie mógł przyjąć od wykonawcy zewnętrznej sieci cieplnej. Sieć pracuje już 4 lata, ale wykonawca dotychczas „nie zdążył" wykonać tzw. „próby na ciśnienie". Zabierano się już do tej sprawy dwukrotnie, ale za każdym razem z końcem września. Próby przerywano, bo trzeba było zaczynać palenie.

Jedni więc nie usuwali usterek, bo nie dokonali jeszcze próby całości, dwa razy ubiegnięci przez „Dziadka Mroza", drudzy — bo jeszcze nie przejęli urządzeń.

A mieszkańcy? Lepiej nie mówić.

Wreszcie, na wyraźne polecenie Prezydium, ekipy MZBM wtargnęły na „tereny niczyje" i zrobiło się ciepło na Kozinach.

Chcecie więcej przykładów? Oto blok 37 na Nowym Rokiciu, które ogrzewane jest wodą z Elektrociepłowni. Zakład Sieci Cieplnej doprowadził wodę z EC II, odpowiednie przedsiębiorstwo wykonało instalację wewnętrzną. Ale na „styk" obu sieci potrzebne są tzw. „wymienniki ciepła". Otóż wymiennik w bloku 37 jest tak sprytnie zbudowany, że skoro się popsuje, unieruchomi ogrzewanie całego osiedla.

Wystarczy? Narazie wystarczy...

JAK TO DZIAŁA?

Z pamiętnika inżyniera J. M. — kierownika odcinka instalacyjnego osiedla im. Władysława Bytomskiej:

29. IX. 1960. Przez całą ubiegłą zimę ogrzewaliśmy osiedle z naszej kotłowni awaryjnej. EC II miała się włączyć we wrześniu 59, ale nie zdążyła. Byłem pewien, że w tym roku już na pewno zdążą, jednak na wszelki wypadek przygotowałem kotłownię do pracy. Instalacje również w porządku, przystępujemy do próby sprawności. Temperatura gwałtownie spada. EC II chyba znowu nie zdąży.

30. IX. Stało się. Na razie w Prezydium RN zarządzono, by rozpalać natychmiast. Nie zdążyliśmy przekazać kotłowni MZBM-owi, więc znowu obowiązek spada na nas. EC II nie zdążyła.

1. X. Przystępujemy do rozpalania pod kotłami. Okazuje się, że latem ktoś spuścił prawie całą wodę z sieci osiedlowej. Woda w sieci nia może być zwykłą wodą z kranu, musi być specjalnie zmiękczona. Objętość sieci osiedlowej — 800 m sześć. Zmiękczalnia w naszej kotłowni produkuje 2 m sześć wody na godzinę. Przystępujemy do napełniania przewodów. Zimno.

6. X. Ogrzewamy już 11 bloków z ogólnej liczby 31. Zmiękczalnia pracuje nadal pełną parą.

8. X. Robi się wiosna, wygaszamy kotłownię. EC II dotarła! Zaczynają się włączać do sieci. Szkoda, że „dojście" dla nich zostało tak pomyślane, że muszą wypuścić do kanałów całą „naszą" wodę. Wszystko jedno, ważne że wreszcie są.

13. X. Znowu zimno, ale EC II grzeje. Możemy zabierać się do wykańczania kotłowni, by przekazać ją MZBM-owi.

17. X. Północ. Wyciąga mnie z łóżka telefon. W EC II wysiadła pompa zimowa, musimy się znowu włączyć. Kiedy ja wreszcie przekażę tę kotłownię...

18. X. Godzina 23. Przyjeżdża palacz po pisemne zezwolenie na zatrzymanie naszej kotłowni. Pompa naprawiona. Tej nocy śpię czujnie, w oczekiwaniu nowych niespodzianek.

Z CZEGO SIĘ TO ROBI?

Właściwie na dobrą sprawę to nie wiadomo z czego. Na rury wysokoprężne kotłowe do sieci zewnętrznych trzeba czekać 9 miesięcy, nie będąc pewnym, czy przyjdą w terminie. Tylko jedno przedsiębiorstwo w kraju produkuje tzw. hydroelewatory — urządzenia niezbędne dla większości zasilanych z elektrociepłowni instalacji c. o. Brak zaworów bezpieczeństwa, brak tzw. klingerytu na zwykłe uszczelki (wspomniane bloki na Kozinach uratowała Politechnika Łódzka, która miała w zapasie trochę klingerytu).

Weźmy „pod szkiełko" choćby zwykły grzejnik, jeden z tysięcy, jakie instaluje się obecnie w nowych blokach.

Produkujemy w kraju tylko grzejniki o wytrzymałości na ciśnienie do 4 atmosfer. Tymczasem tam, gdzie dociera woda z elektrociepłowni potrzebna jest wytrzymałość grzejników do 6 atmosfer.

Na Dołach np. po przeprowadzeniu próby instalacji pod ciśnieniem 6 atm., połowę grzejników trzeba było wyrzucić, bo nie wytrzymały ciśnienia. Teoretycznie ścianka żeberka powinna mieć grubość 3—4 milimetry, zdarza się zaś często, że ma nie więcej niż 1 mm. I to w epoce, kiedy do kontroli odlewów używamy izotopów promieniotwórczych!

Na tym jednak nie kończą się kłopoty. Oto każdy grzejnik, w zależności od tego, w którym miejscu budynku zostanie założony, musi być odpowiednio wyregulowany. Inaczej np. grzejniki górnych pięter pożerałyby całe ciepło, grzejniki zaś na parterze byłyby zupełnie zimne. Do tego celu służą tzw. zawory podwójnej regulacji, umieszczone w każdym kaloryferze. Niestety, zawory te są z reguły szmelcem i do niczego nie mogą służyć. Dawniej robiono je wyłącznie z mosiądzu, obecnie używa się materiałów zastępczych i na dodatek wykonuje niechlujnie.

W tej sytuacji trzeba być naprawdę sztukmistrzem, by wyregulować instalację w nowym bloku.

Niestety bowiem nie zawsze można sobie poradzić tak, jak to uczyniono na Nowym Rokiciu. Tam mieszkańcy obok ciepła otrzymują także gorącą wodę do przewodów wodociągowych. Woda przesyłana jest z elektrociepłowni pod zwiększonym ciśnieniem i ma temperaturę do 150 stopni. Gdyby ta woda miała bezpośrednio dostawać się do mieszkań, to po odkręceniu kranu wydobywałby się wrzątek wraz z parą. Trzeba więc instalować urządzenia regulujące, tzw. termostaty. Sprowadzamy je z zagranicy, a dla Nowego Rokicia nie zdążyliśmy sprowadzić. Zastosowano więc prowizoryczne zawory a w charakterze termostatów zatrudniono trzech ludzi, którzy stale chodzą po blokach i „ręcznie" regulują urządzenia.

Rozwijając dalej to niezaprzeczalne osiągnięcie „postępu technicznego", mogliśmy na przykład zamiast budowania kotłowni werbować kompanię wojska, która dmuchałaby w przewody c. o. I ciepło by było i zawory by nie nawalały.

I jeszcze jeden kwiatek — najpiękniejszy z całej łączki. O ile nam wiadomo przed niespełna rokiem prokuratura wszczęła śledztwo przeciwko jednemu z przedsiębiorstw, które zbyt opieszale wykonywało instalację c. o. w zamieszkałych blokach. Rzecz działa się w pełni bielutkiej zimy.

Niestrwożone przedsiębiorstwo potrafiło jednak przedstawić taką listę „obiektywnych trudności", że prokurator śledztwo umorzył.

A JEDNAK GRZEJE!

W kontekście wszystkich przytoczonych wyżej zarzutów i uwag krytycznych, nie wolno nam jednak zapominać, że w tym roku ogrzewanie wszystkich łódzkich bloków i osiedli ruszyło mniej więcej w terminie.

Trudno sobie nawet wyobrazić, jak zdołano do tego doprowadzić, ale fakt pozostaje faktem.

Pochłonęło to na pewno znacznie więcej wysiłku niż byłoby potrzeba w „normalnych" warunkach. Więc wspomniany okólnik dwojga ministerstw, więc szereg narad w Łódzkim Zarządzie Budownictwa i w Prezydium RN, więc prywatne „dojścia" kierowników przedsiębiorstw wykonawczych, dzięki czemu zdobywano „u źródeł" niedostępne nieraz materiały.

Jednym słowem — najwyższy stopień mobilizacji.

Pomogła poza tym pogoda, która zarządziła „próbny alarm" w początkach października, a potem łaskawie przyniosła ocieplenie, pozwalając na dokonanie zauważonych poprawek. Tak na przykład spostrzeżono, że w 5 blokach na Żubardziu brakuje zaworów bezpieczeństwa i szybko je zainstalowano przed nawrotem chłodów.

A jednak grzeje — możemy zawołać w ślad za Galileuszem i nieco go trawestując. Zachodzi wszakże obawa, czy w przyszłym roku stać nas będzie na podobny wysiłek mobilizacyjny i czy aura okaże się tak łaskawa. Wbrew pozorom problem pozostaje więc nadal otwarty.

JULIAN BRYSZ

Stosuje się już w Polsce „ogrzewanie bez grzejników" — tzw. płaszczyznowe. Przewody cieplne montuje się przy tym systemie bezpośrednio wewnątrz ścian lub sufitów. System okazuje się specjalnie dogodny dla dużych pomieszczeń i hal fabrycznych. Natomiast próby „sufitowa" w warszawskim gmachu Min. Hutnictwa skończyła się raczej niepomyślnie — urzędnicy skarżą się na uciążliwe bóle ciemienia. Projektanci popełnili bowiem błąd, przyjmując zbyt wysokie temperatury sufitu dla danej wysokości pomieszczeń.

Jest pozbawionym jakiegokolwiek sensu przesądem, że centralne ogrzewanie jest niezdrowe, że daje „suche" powietrze. To tylko kurz, osiadający na grzejnikach podlega suchej destylacji a jego drobiny unoszące się w powietrze, drażnią drogi oddechowe. Wniosek — uważniej czyścić kaloryfery.

Instalując ogrzewanie wodne można dowolnie regulować wilgotność powietrza w pomieszczeniu. Jeżeli „żeberek" będzie więcej a ich temperatura niższa, to otrzymamy taki sam efekt, jak przy mniejszej ilości żeberek cieplejszych. Natomiast powietrze będzie w tym wypadku wilgotniejsze. Wszystko zależy od wyliczenia.

Patent nr. 41040 — grzejnik z rur żebrowych litych. Wynalazek łodzianina — inż. Kalinowskiego. Zastosowano oryginalną metodę łączenia rury z nakładanymi na nią żeberkami, dzięki czemu udało się zwiększyć wydajność grzejników w zależności od warunków od 30 do 300 procent. Wynalazca zaprojektował również urządzenia do produkcji „swoich" rur i uruchomił produkcję w warsztatach Stowarzyszenia Wynalazców Polskich. Udało się wykonać systemem półchałupniczym około 10 tys. metrów bieżących, które nabyło kilkanaście fabryk i instytucji tak z Łodzi, jak i całego kraju. Np. po zainstalowaniu grzejników w Witaszyckich Zakładach Przem. Lniarskiego, wydajność suszarń wzrosła przeszło 2-krotnie i poprawiła się znacznie jakość surowca. Wystawiano rzecz czterokrotnie na targach krajowych i raz na MTP, budząc zainteresowanie zagranicy (oferty). Wynalazek szczególnie cenny dla lotnictwa i kolejnictwa. Redukuje np. ciężar urządzeń ogrzewczych samolotu z 2,5 do 1 tony. Zakłady Cegielskiego w Poznaniu chciały zakupić wyłączność produkcji.

Obecnie likwiduje się Stowarzyszenie Wynalazców, a warsztaty już od 3 miesięcy stoją nieczynne.

Inż. Kalinowski opracował również prototyp „kaloryfera" elektrycznego, który przy tej samej wydajności waży 4-krotnie mniej niż dotychczas stosowane i jest blisko 2-krotnie tańszy, a także znacznie oszczędniejszy w eksploatacji.

Przedstawiamy dzisiaj jedną z najpopularniejszych piosenkarek radiowych i telewizyjnych — Hannę Rek. Pani Hania jest wychowanką warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków. Oprócz pięknego głosu, wrodzonego daru inteligentnej interpretacji Hanna Rek obdarzona jest urodą co, niestety, nie zawsze jest udziałem naszych piosenkarek radiowych. Dla ciekawych: Hanna Rek jest mężatką a jej małżonek aktorem. Ostatnio występowała w Łodzi.

TELEWIZYJNA SPECYFIKA

Raz na dwa tygodnie w niedzielny poranek wysłuchuję audycji „Radio-problemy". Jej tematem nie są już wyłącznie problemy radiowe ale przede wszystkim telewizyjne, jako że telewizja weszła już w skład instytucji pod nazwą Polskie Radio. W audycji tej Włodzimierz Sokorski tłumaczy się najczęściej z win popełnionych w ciągu minionych tygodni przez jego podwładnych. Wrodzony dar rzeczowej argumentacji i równie chyba wrodzone łagodne spojrzenie na świat, pełne ufności w stosunku do ludzi, pozwalają mu zawsze jakoś wybielić rzecz nawet tak czarną jak sztandarowy kolor niektórych telewizyjnych programów rozrywkowych. Prezes Komitetu do Spraw Radiofonii Polskie Radio i Telewizja jest pełen najlepszych nadziei na przyszłość. Niczego nie osiąga się od razu — stwierdza — zespoły twórcze telewizji są młode, warunki pracy bardzo trudne: doświadczeń wciąż nie ma za wiele. Ale będzie nowe studio, jedno, drugie to się wiele zmieni. Cierpliwości.

Jest w tej radioproblemowej audycji coś z nastroju niedzielnego kazania. Oto wierni słuchacze mają wątpliwości po obejrzeniu jakiejś tam nieudanej audycji czy jej redaktor pozostaje np. przy zdrowych zmysłach.

Wierni telewidzowie zaczynają wymyślać herezje o bezsensie telewizji, przestają w nią wierzyć. I oto na przeciw tym szatańskim podszeptom wychodzi sam prezes. Ukazuje wątpliwości ludzkie, w całej nagości. Takie oto są! To są — zaprawdę powiadam wam — wątpliwości słuszne.

Ale tylko dla takiego co nie wie nic o telewizyjnej specyfice.

Nasze sumienia wolne są już od wątpliwości.

Telewizyjna specyfika. Tak, to jest panaceum na wszystko. Tarcza od kuli. A za tą tarczą kurczą się, gniotą ludzie często mali, niewiele umiejący. Boję się, że tej właśnie „specyfice" zawdzięcza nasza telewizja swe trudności. Mam na myśli stronę publicystyczno-informacyjną i dział audycji rozrywkowych. Dwa działy chyba najbardziej popularne wśród słuchaczy. Tu nasza telewizja wciąż nie może się pozbierać. Raz się uda audycja jubileuszowa „Szpilek" czy „Kabaret Starszych Panów" to potem pięć razy nie. Uda się „Peryskop" za to „Wszystkie dni tygodnia" trzeba oglądać za pokutę. Telewizyjna specyfika? Telewizyjne skostnienie.

Jak się zdaje do niedawna obowiązywała w TV teoria o „nietelewizyjności" koncertów orkiestrowych. Prawdopodobnie dlatego rzadko transmitowało się np. koncerty symfoniczne. Stałego odcinka takiego nie ma. Dopiero Lipski Festiwal Lekkiej Muzy pokazuje, że koncerty można oglądać i że nie zawsze nad każdym skrzypkiem musi stać olbrzymia latarnia (oprawa plastyczna), nie koniecznie też orkiestra musi siedzieć na wąskich schodach prowadzących prosto do nieba. Ale autorów takich a nie innych koncepcji chroni glejt: telewizyjna specyfika, a pan się na tym nie znasz.

Tymczasem coraz więcej piór i to słynnych zajmuje się telewizją. W dziedzinie publicystyki kulturalnej powstaje niejako nowa specjalizacja. Mnożą się artykuły ciekawe, sensowne. Jeszcze do niedawna tygodnik „Radio i Telewizja" zamieszczał przegląd prasy terenowej, piszącej o telewizji. Teraz jakoś zwyczaj ten zanika. Czy wobec tego kierownictwo naszej centrali telewizyjnej orientuje się co i gdzie o telewizji piszą? Czy uwagi te przejmuje? Jaki ma do nich stosunek? Sądzę, że w ramach niedzielnych „Radioproblemów" warto by trochę czasu poświęcić polemice, z prasą, bądź ustosunkowaniu się do jej uwag. Te uwagi są bowiem bardziej konkretne i sprawdzalne niż zarzuty stawiane telewizji — w liście do „Radioproblemów" podpisanym „Buba" czy „Dziunia". Chodzi nam więc o konkretne, odpowiedzi na wydrukowane zarzuty czy postulaty. I to nie tylko w prasie warszawskiej, ale całego kraju. Jak dotąd TV przeważnie milczy. Telewizyjna specyfika?

A. W.

Niedziela 13 i tak dalej...

Trzeba przyznać, że niedziela 13 bm. była — oczywiście poza okresem olimpijskim — jednym z najbardziej międzynarodowych dni w telewizji polskiej. Raz Praga, dwa razy Lipsk i raz Budapeszt, to chyba dowód, że Interwizja zaczyna pracować coraz sprawniej i z coraz to większym rozmachem. No, tak Bogiem a prawdą, to nie obeszło się bez drobnych zakłóceń — w transmisji meczu nawalała to fonia to wizja, a zapowiedzianego „Kopciuszka" zgoła nie obejrzeliśmy kontemplując się przez jakiś czas starym filmem, który „z cicha pękł" poczęła wyświetlać stacja berlińska... ale zawsze — dobre chęci były.

W środę natomiast oglądaliśmy na małym ekranie dyr. Pańskiego, który odpierał kolejny szturm na instytucję, za której program jest odpowiedzialny — szturmującym był red. Lech Pijanowski.

Bardzo to było sympatyczne widowisko. Red. Pijanowski zaczął oczywiście od sprawy „martwych wtorków", a otrzymawszy zapewnienie, że z początkiem przyszłego roku będą one nieodwołalnie należeć do przeszłości, zapisał rzecz w notesie, postraszył tym notesem rozmówcę i z zimną powagą zapytał go, czy ogląda telewizję.

— No, w miarę możności, rzecz jasna, że oglądam — odpowiedział dyr. Pański.

— A czy Pan zawsze wie, co będzie Pan oglądał? — zapytał chytrze red. Pijanowski, wyciągając tygodnik „Radio i Telewizja". Zaś w owym tygodniku (w tej chwili też zresztą leży przede mną, więc mogę sprawdzić słuszność wywodu) raz za razem napotykamy na tajemnicze pozycje: film krótkometrażowy, film fabularny, film średniometrażowy, film krótkometrażowy etc. — No dobrze — powiada red. Pijanowski — ale film krótkometrażowy może traktować o Afryce, o pryszczycy, o Ołtarzu Mariackim, o Dymszy itp. — jakże ja mogę świadomie oglądać program telewizyjny, wybierać to, co mnie interesuje, kiedy nie wiem, co mi się proponuje!?

Tu znów dyr. Pański począł się sumitować i wyjaśniać, że już w roku przyszłym filmy będą miały swoje stałe „okienka", tak że informacja o programie stanie się nierównie pełniejsza i bardziej wyczerpująca.

Poczem przyszła kolej na techniczną stronę programu, łącza nie łącza i tak dalej, a wreszcie na zegar. Na zegar, którego nie ma, którego nigdy nam nie pokazują — tak że **telewizja** jest w rezultacie dość dziwną instytucją, żyjącą poza czasem...

Okazało się, że z zegarem — który byłby chronometrem, a z drugiej strony dałby się jakoś „ujmować" przez kamerę — to cały problem, że był ów zegar dawno już zamówiony, ale szatański wykonawca zawala wszystkie terminy i w ten sposób nie mamy innego wyjścia, jak tylko czekać. Jak długo czekać, tego już dyrektor Pański nie wie.

Na takie dictum red. Pijanowsk spojrzał na swój prywatny zegarek i oświadczył, że ku jego żalowi mija czas przeznaczony na audycję... I tyle dowiedzieliśmy się. Że będzie lepiej.

J. P.

„PARAGRAF I FAJKA"

Zostaliśmy pocieszeni

W kolejnym odcinku arcyciekawego zresztą cyklu „Paragraf i fajka") prof. JERZY SAWICKI zajął się sprawą reakcji widzów na wszelkiego typu imprezach artystycznych i sportowych. Rozważał więc kwestię: do jakiego stopnia może posunąć się aplauz, a także dezaprobata widzów na meczach sportowych i spektaklach teatralnych, koncertach i widowiskach sportowych, oczywiście w świetle przepisów prawnych.*

Wypowiedzi prof. Sawickiego — na nasz gust — były pocieszające. Otóż — opierając się na podstawowym kryterium lokalnego prawa obyczajowego, miejscowego obyczaju — powiada prof. Sawicki, że okrzyk „sędzia kalosz!" jest dopuszczalny, a co za tym idzie nie karalny, albowiem odnosi się on raczej już nie do osoby samego sędziego, a do funkcji jaką on (źle!) spełnia, mianowicie do sędziowania.

Dalej prof. Sawicki przytoczył precedensowy wyrok sądu w Brukseli w następującej sprawie: dyrektor pewnego teatru usunął z sali gwiżdżącego recenzenta i odebrał mu stały bilet wejścia. Sąd nakazał zwrot biletu i zasądził odszkodowanie na rzecz pokrzywdzonego recenzenta, któremu dyrektor przeszkodził w wyrażaniu swojej opinii. — Co za tym idzie — wywodził prof. Sawicki — apel jednego z recenzentów polskich zachęcającego do gwizdania na pewnej sztuce (chodzi — jeżeli się tylko nie mylimy — o Jana Kotta i jego recenzję z „Samoistności") nie był podżeganiem do przestępstwa i nie stanowi czynu karalnego.

Wszystko byłoby bardzo piękne, gdyby rzecz dało się jeszcze sprawdzić praktycznie — mianowicie wygwizdać jeden czy drugi spektakl (a zdarzają się niestety, takie, które na to zasługują) i nie zostać skazanym przez Kolegium Orzekające za zakłócenie spokoju publicznego. Oczywiście pozostają jeszcze apelacje aż do Sądu Najwyższego włącznie, ale kto dla prawa do gwizdania na kiepskich przedstawieniach zechce odbyć tak daleką drogę?!

*) Nadanym dnia 12. XI z Warszawy — dla uniknięcia nieporozumień, będziemy odtąd podawali daty audycji, które omawiamy, lub do których nawiązujemy.

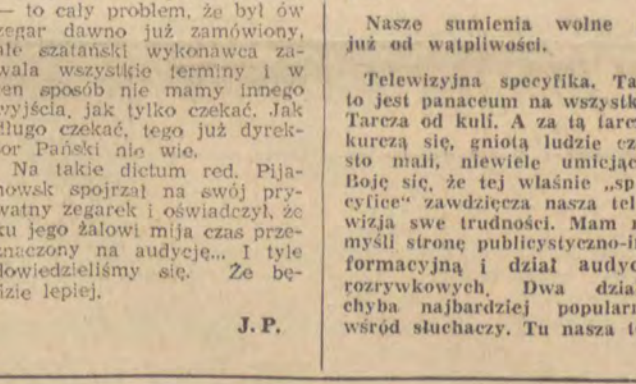

Co nowego w teatrach?

Nowego w teatrach sporo, my wszakże zwrócimy uwagę na dwie pozycje Teatru Jaracza. (Placówka ta obchodzić będzie niebawem 50-lecie istnienia).

Otóż w połowie grudnia ujrzymy na deskach tego teatru „Strach i nędzę III Rzeszy" Bertolda Brechta. „Strach i nędza III Rzeszy" jest polską prapremierą tej sztuki; będzie to też pierwsza sztuka Brechta na scenach łódzkich. Reżyseria Feliks Żukowski, oprawa scenograficzna Ewy Soboltowej.

Poza tym planuje się na 1 Maja premierę „Trzeciej patetycznej" Pogodina. Sztuka ta powstała w latach 1956—58 i opowiada o trudnym dla młodej władzy radzieckiej, pełnym wewnętrznych konfliktów okresie NEP-u. Reżyserował będzie Włodzimierz Bogomorow z MChaT-u. Podobno zresztą i autor sztuki odwiedzi z okazji premiery nasze miasto.

Goście w Łodzi

Trudno nie odnotować wizyty tak znakomitego gościa jak Witold Małcużyński, który w ubiegłym tygodniu koncertował w Łódzkiej Filharmonii.

Z rozmowy z przedstawicielem łódzkiej prasy czytelnicy dowiedzieli się, że artysta zamierza w czasie swego najbliższego pobytu w Polsce w przyszłym sezonie znów wystąpić w naszym mieście.

Panowie myślcie...

Panowie, którzy ustalacie granice wieku na poszczególne filmy — błagamy was — myślcie trochę.

Otóż wyświetlany był w Łodzi „Proces w Norymberdze", pełen scen delikatnie mówiąc brutalnych. W kasach widzieliśmy wywieszki „dozwolone od lat 7". Szedł również w łódzkich kinach „Pancernik Potiomkin" z makabrycznym dodatkiem o obozach koncentracyjnych. Dozwolony również od lat 7.

Dla każdego kto wymienione filmy miał okazję obejrzeć szkodliwość i nonsens wspomnianej granicy wieku wyda się chyba bezsporny.

I znów łodzianin

I znów łodzianin w serii karykatur, Andrzeja Stopki. Tym razem mistrz karykatury uwiecznił popularnego „Łapę" czyli Stanisława Łapińskiego z łódzkiego Teatru Nowego. Starym zwyczajem reprodukujemy ową karykaturę ku uciesze miłośników talentu tego znakomitego aktora.

Bestsellery miesiąca

Bestsellery ostatniego miesiąca są dla nas trochę zaskoczeniem. Są to bowiem pozycje dość specjalne.

Największym powodzeniem cieszy się ogromne dwutomowe dzieło Edwarda Gibbon — angielskiego historyka z XVIII w. pt. „Zmierzch cesarstwa rzymskiego". Rzecz traktuje o epoce panowania Antoninów, o okresie powstania i rozwoju chrześcijaństwa aż po schyłek panowania Juliana Apostaty. Cena jak na tak ogromną, pięknie wydaną publikację nawet nieduża bo 120 zł. Nakład 15.000 egz.

Drugą popularną pozycją jest wydana przez FAX książka Melchiora Wańkowicza pt. „Tworzywo". Opowiada ona o losie emigrantów — Polaków kanadyjskich i obejmuje okres od początku tego stulecia aż do wybuchu Drugiej Wojny Światowej. Nakład 10 tysięcy egzemplarzy, cena 75 zł.

Czwartki satyryczne

Na świetny, jak zresztą zawsze, pomysł wpadli ostatnio redaktorzy popularnej „Karuzeli". Zorganizowali mianowicie... teatrzyk. Mieści on co prawda zaledwie 50 osób, ale za to zabawa, że palce lizać.

Dość powiedzieć, że czynnie w programie uczestniczą pisarze i satyrycy Marian Piechal, Jan Koprowski i Igor Sikirycki. Zabawa naprawdę urocza i sądzimy, że wiele z improwizowanych „czwartkowych" fraszek i powiedzonek dane będzie ujrzeć czytelnikom w najbliższych numerach „Karuzeli".

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł. * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 Z. 3509. XI. 60 r. R-5

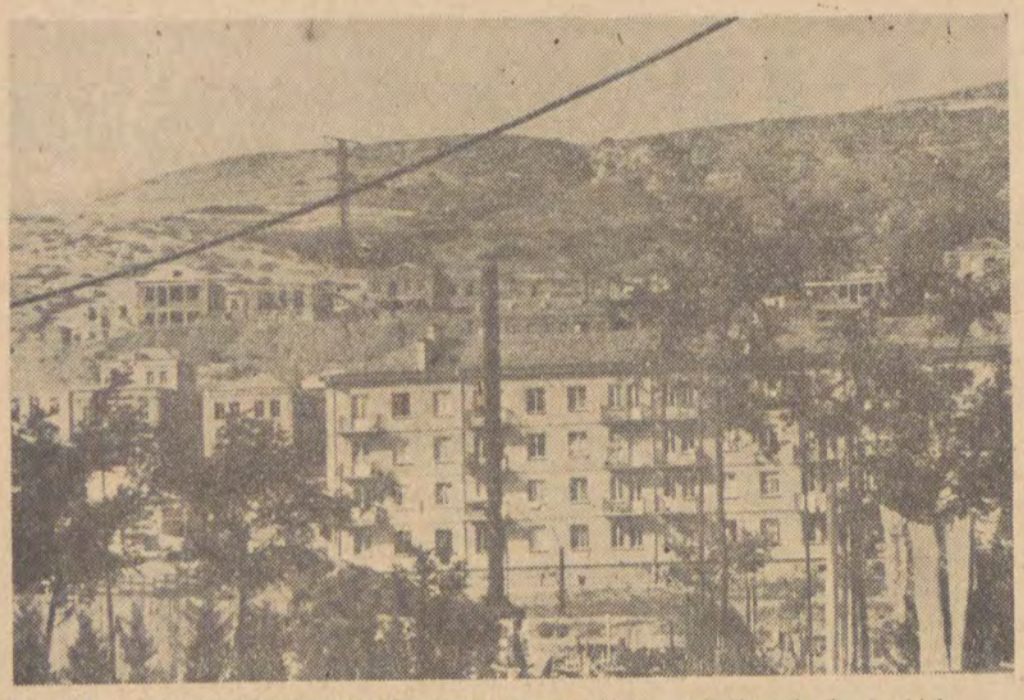

Saburtało — nowa dzielnica mieszkaniowa ciągnie się do podnóża gór kaukaskich.

JERZY ŁANCUT

Od gorących źródeł...

...do gorących serc

Z kaukaskiego notatnika (II)

Od naszego specjalnego korespondenta

„TBILI" ZNACZY GORĄCY

Na imię miała Sieda. Wysoka, o hebanowo-czarnych włosach, była w tym dniu moim cicerone. Długo wędrowaliśmy po mieście zaglądaliśmy w niejeden stary zaułek. Podziwiałem piękną architekturę Metechskiego zamku, dawnej rezydencji carów gruzińskich, przyglądałem się starym domom przylepionym do stromych zboczy nad rzeką Kurą. Zupełnie jak orle gniazda — powiedziałem w jakiejś chwili. Nic dziwnego — odpowiedziała Sieda — Gruzini, naród gór, orły...

Wieczorem zmęczeni wielogodzinną łazęgą przyjechaliśmy na szczyt góry św. Dawida. Znaleźliśmy ławkę nad urwistym skłonem. Stąd roztaczała się fantastyczna panorama miasta — feeria świateł.

— Wygląda tak, jak rozgwieżdżone niebo odwrócone dnem — odezwała się Sieda — spójrz, jaka powódź światła.

Szeroką kotliną, przedzieloną rwącą rzeką setki tysięcy świetlnych punktów rozbiegało się aż do podnóży wysokich gór pasma kaukaskiego, które ujęło miasto w swoje wysokie ramiona. Raz po raz mijamy wielkie, neonowe, reklamy.

— Powiedz mi coś o Tbilisi — zwróciłem się do dziewczyny. Po chwili zaczęła swoim niskim głosem.

„...w ów dzień car wyjechał na polowanie. Na Digomskim polu puścił się za stadem jeleni. Gonił je wśród wzgórz i wąwozów, a one hyżo śmigały, pędząc ku z dala widniejącym lasom. W pewnym momencie car Parnawaz wypuścił strzałę i trafił jelenia. Zwierzę ociekając krwią upadło u podnóża skały. Traf chciał, że tu biło gorące źródło. To ocaliło jelenia. Ocuciwszy się przy źródle poderwał się i zniknął w lesie. Car zatrzymał się przy źródle i stwierdziwszy, że bije z niego gorąca woda — nakazał założyć w tym miejscu miasto".

Taką legendę przekazał nam kronikarz Leontij Mrowieli, opisując polowanie gruzińskiego cara Parnawaza, który panował na przełomie 3 i 2 wieku przed naszą erą. Jest jeszcze jedna legenda, która nieco w zmienionej wersji podaje genezę dzisiejszego Tbilisi. Otóż car Gorgasał (V wiek) polował z sokołami na bażanty. Sokół carski miał już swoją zdobycz w szponach, gdy nagle obydwa ptaki runęły na ziemię. Spadły do gorącego źródła i nim ktokolwiek ze służby carskiej zdążył je wydobyć z wody, ptaki ugotowały się. W miejscu gdzie biło tak gorące źródło — car rozkazał osiedlić się ludziom. Taki był początek miasta Tbilisi.

Dłuższą chwilę siedzieliśmy bez słowa. W uszach brzmiała jeszcze legenda, przed oczyma miałem widok miasta jak gdyby żywcem wyjętego z bajek 1001 nocy.

— Słowo „tbili" — przerwała ciszę Sieda — znaczy ciepły, gorący. Stąd nazwa Tbilisi — miasto gorących źródeł.

Sięgnąłem po leżący obok aparat. Założyłem teleobiektyw i zacząłem fotografować. Te zdjęcia powiedzą więcej ode mnie.

SKOK W NOWOCZESNOŚĆ

Tu zaczyna się słynna wojenno-gruzińska droga. Tu kilka lat temu rozciągało się rozległe pole — pustkowie. Tu najczęściej grano w piłkę. Piłka po gruzińsku nazywa się „burty". „Sa" znaczy po polsku — „dla". Saburtało — pole do piłki. Dziś Saburtało — to nowoczesna dzielnica Tbilisi, wielki plac budowy tętniący rytmem najnowocześniejszej techniki. Chodziłem, zwiedzałem, zaglądałem do nowych mieszkań, fotografowałem, rozmawiałem z robotnikami i czułem się jak w... Warszawie. Jakże znajomy widok, zapach nawet! Wznoszą się równym szeregiem setki bloków czerwieniejących świeżą cegłą i bielejących świeżym tynkiem. Szumią silniki dźwigów, buldożerów, koparek. Śmigają dziesiątki maszyn wyładowanych materiałem budowlanym, mijają się z samochodami zwożącymi meble przekwaterowanych mieszkańców.

Dziś w Tbilisi jest podobnie ciasno, jak w Łodzi. Ponad 600 tysięczne miasto szybko rozrasta się, wyciąga swe ulice ku odległym peryferiom. I choć budownictwo mieszkaniowe rozwija się szybko — nie nadąża jeszcze za potrzebami mieszkańców stolicy Gruzji.

Mój nowo poznany przyjaciel, kolega po fachu, dziennikarz miejscowej gazety, redaktor Julij Polakow (!) mieszka w Saburtało. Niedawno otrzymał mieszkanie i jak zawsze — w takich sytuacjach — jest szczęśliwy.

— Nasze budownictwo mieszkaniowe — mówi do mnie — przebiega pod hasłem: większe, ładniejsze, nowocześniejsze mieszkania! Rosną wymogi społeczeństwa. Każdy pragnie żyć dziś lepiej niż wczoraj, a jutro lepiej niż dziś. Saburtało jest tego widomym znakiem. Patrz — rozmaitość architektoniczna wznoszonych domów jest wynikiem ciągłych eksperymentów.

Główna ulica Saburtało — to ulica Kominternu, 4,5 km długości. Ona jest osią nowej dzielnicy, wzdłuż niej wyrastają coraz to nowe 4 i 5 piętrowe domy. Tu wkrótce stanie stadion „zielony teatr", tu buduje się sztuczne jezioro, tu postawiono już wiele gmachów użyteczności publicznej.

Prefabrykaty i szkło, rozmach i tempo przeobrażają niedawne „pole do piłki" w nowoczesną dzielnicę mieszkaniową, w której za rok lub dwa mieszkać będzie blisko 50 tysięcy ludzi.

TYLKO NA KOLANACH...

Do biblioteki wchodzi się przez mroczny korytarz. Pod nogami kable i grube węże gumowe, wokół ostry, cierpki zapach. I wreszcie stajesz na galeryjce. Nad tobą i pod tobą wysokie, sięgające stropów regały. A w regałach... butelki. Tak jest, butelki! Takiej kolekcji butelek w życiu nie widziałem. Graniaste, pękate, w kształcie amfor i beczułek, stożkowate, duże i małe, ze szkła i kryształu, gliniane i kamienne i wreszcie zwyczajne, standartowe 0,5 i 0,75 litra. Jest ich 130.000 sztuk. Reprezentują 2000 wzorów, czyli zawierają 2000 gatunków najrozmaitszych win i koniaków! Taka jest „biblioteka" największej fabryki win w Tbilisi, noszącej skromną nazwę rosyjską: „Win. Zawod Nr 1".

Fabryka istnieje od 1896 roku i sławi się nie byle jaką tradycją. Stąd dostarczano wina na stół... Romanowych. A wiadomo, że carowie lichych win nie pijali... Kolekcja, którą obejrzałem w tej fabryce jest jedyna w całej Gruzji. Znajdziesz w tej „bibliotece" i koniak napoleoński z 1812 roku w pięknie szlifowanej graniastej flaszce, na której wygrawerowano herb cesarza Francji, polskie miody z XVIII i XIX wieku, słynne Bordeaux z 1785 roku, no i takie rarytasy gruzińskie jak: Cinandali z 1882 roku, lub Saperawi z 1890 roku.

Przyglądałem się ciemnopurpurowym, zielonkawym, brunatnym i złocistym płynom. Brałem do ręki butelki, obwąchiwałem je i z żalem patrzyłem na zalakowane szyjki.

— Tylko pracownicy laboratorium mają prawo otwierać te butelki — powiedziano mi. I to od czasu do czasu.

— ? ? ?

— Niestety, tylko dla badań naukowych.

Z żalem opuszczałem tę bibliotekę. Dyrektor Mikołaj Melchisadekowicz Zgenti widocznie zauważył moje rozczarowanie bo powiedział, uśmiechając się.

— Proszę do mnie, do gabinetu.

Poszliśmy. On, główny technolog fabryki, inżynier Guła Kandelaki, mój dobry duch w Gruzji, nieoceniony Gogi Kajszauri i ja. Na stole stało kilka butelek z fantastycznie kolorowymi nalepkami, 4 duże kieliszki i szklana patera. Zaczęła się „proba". Na początek poszło białe wino CINANDALI, rocznik 1955, moc 12%. Smaczne, chłodzące nawet. Potem GURDŻANI — stołowe wino — rocznik 1956, moc 12%. Również smaczne. SAPERAWI było młodsze, za to czerwone, cierpkie o mocy 11%. Oczy gospodarzy spoglądały na mnie a ja grzecznie, z uśmiechem, kiwałem głową i mruczałem „diah" — co po polsku znaczy „tak". Po każdym kieliszku wina zlewaliśmy pozostałe na dnie krople do szklanej patery. Otworzono CHWASZCZKARA — półsłodkie o niedużej mocy, bo zaledwie 10,5%. Nie powiem — smakowało niezgorzej.

Na piątej butelce pysznił się w świetnym złoceniu napis SALCHINO. Do kieliszków rozlano wino o ciemnopurpurowej barwie. Wypiłem i natychmiast powiedziałem: świetne. Gogi Kajszauri szybko przetłumaczył na gruziński. Gospodarze szeroko uśmiechnęli się i raz jeszcze rozlali.

Błogość w duszy, raj w ustach, w nosie zapach fiołków. Ciężkie, słodkie wino było cudne. Zachwyt na mojej twarzy był tak oczywisty, że dyrektor Zgenti nie czekając na pytania, powiedział:

— To jest wino pańskiego rocznika. Wygląda pan na 35 lat, ta butelka jest z 1925 roku.

Jak ci Gruzini lubią sprawiać przyjemność — pomyślałem. Nawet ujęli mi 7 lat...

— Jak panu smakuje SALCHINO? — zapytał inżynier.

— Proszę nalać mi jeszcze kieliszek.

Naleli.

Wówczas podniosłem się zza stołu.

— To wino trzeba pić tylko na kolanach — powiedziałem.

Szumiało mi w głowie, gdy wpisywałem powyższe słowa do księgi pamiątkowej. I jakby z daleka dobiegały mnie słowa ...tłoczone jest z najwyższego gatunku winogron „Izabella", moc 15% słodkość 30%.

DWA SPOTKANIA

Gdy spytasz na ulicach Tbilisi o dom Konstantina Gamsachurdia, każdy go wskaże. Wszyscy znają ten dom, każdy Gruzin szczyci się, że jego naród wśród wielu sławnych poetów i pisarzy wydał również Konstantina Gamsachurdię.

Na stromej skarpie, wśród starszych budynków Tbilisi, wznosi się dom pisarza, filozofa, historyka, naukowca. Jego dzieła tłumaczone są na angielski, francuski i niemiecki. Jego dzieła tłumaczone na język rosyjski wydawane są w setkach tysięcy egzemplarzy. Pisze zaś przede wszystkim po gruzińsku i w tym języku książki Gamsachurdii spotkać można w każdym gruzińskim domu.

Byłem w tym domu. Niestety pisarza nie zastałem. Poznałem natomiast jego córkę i syna, który właśnie ukończył przekład na język gruziński książki Oscara Wilde'a „Róża i słowik". Dwoje studentów Uniwersytetu w Tbilisi. Serdeczność i gościnność tych dwojga była ogromna. Ich żal, że nie zastałem ojca — jeszcze większy. Wprowadzili mnie do gabinetu pisarza, pokazywali rozpoczęte maszynopisy ojcowskie, książki nadesłane onegdaj przez wydawcę francuskiego, oprowadzali po domu. Pokazywali wszystko, opowiadali o pracy ojca, o swoich zajęciach, zainteresowaniach. Zasypywali mnie pytaniami.

Otoczyła mnie nie tylko serdeczność rodzinnego domu. Wraz z nią chłonąłem kulturę starożytnej Gruzji, którą w tym domu dotykałem i oglądałem: meble, foliały, dywany, ceramika. Obok nich współczesność — z całym asortymentem nowoczesnej mechanizacji i automatyzacji. Zacząłem się żegnać. Córka pisarza poprosiła, by jeszcze na chwilę usiąść w fotelu. Sama usiadła przy fortepianie i zagrała mazurka Szopena.

— To dla pana, na pamiątkę pobytu u nas.

* * *

Wieczorem byłem w Telewizji. Proszono o podzielenie się wrażeniami. Mówiłem kilka minut. Była to audycja na „żywo", bez żadnego przygotowania. Gdy wróciłem ze studia do hotelu, w recepcji zawiadomiono mnie, że jakieś panie czekają na mnie.

Wbiegłem na piętro. Podeszły do mnie dwie młodziutkie dziewczyny, jedna z nich odezwała się do mnie po rosyjsku:

— Widziałyśmy pana w telewizorze. Dziękujemy za to, że tyle dobrego powiedział pan o naszej Gruzji, o naszym narodzie.

EMBARRAS DE RICHESSE — tak powiadają Francuzi, określając znaczenie kłopotu z powodu nadmiaru. Nie sposób jest — drogi Redaktorze — w dwóch reportażach zmieścić wszystkie wrażenia ze stolicy antycznej Kolchidy i Iberii. Wiele spraw pominąłem, o wielu ciekawych rzeczach nie wspomniałem, że wymienię chociażby starą stolicę Mcheta, tbiliską Nową Hutę — Rustawi, wspaniałe Muzeum Kultury Gruzińskiej.

Niewiele napisałem o ludziach, których serdeczność i gościnność jest wprost niespotykana, których patriotyzm i ukochanie swego kraju tak podobne jest do naszego. O ludziach kraju w którym słowo „Polak" otwiera serca...

Mam przemożoną chęć napisania o tym i sądzę, że użyczysz mi jeszcze — Redaktorze — łamów swojej gazety. Po to by opisać jeszcze pełniej ludzi i kraj, o którym Włodzimierz Majakowski pisał w swym poemacie:

„...Wiem
głupstwem — edeny i raj
Lecz jeśli
śpiewano o tym
Na pewno Gruzję
radosny Kraj
Mieli na myśli poeci.

Trochę cyfr

Aleja Szota Rustaweli jest główną ulicą Tbilisi. Przy niej położone są reprezentacyjne gmachy: KC Partii, Urzędu Rady Ministrów, Ministerstwa Kultury. Tu znajdują się teatry, opera, kilka kin, muzea, sale wystawowe. Instytut Marksa-Lenina.

Tbilisi tonie w zieleni. 90 parków, skwerów i ogrodów położonych na terenie 650 tysięcznego miasta zajmuje powierzchnię kilkuset tysięcy hektarów. Tbilisi szczyci się swym wspaniałym ogrodem botanicznym jednym z największych w świecie, rozpościerającym się na powierzchni ponad 80 ha. Miasto słynie z teatrów, których jest tu kilkanaście.

W północno-zachodniej dzielnicy Tbilisi — miasteczko uniwersyteckie, w którym mieszka ponad 2.500 studentów Uniwersystetu, Politechniki, Instytutów: Medycznego, Wychowania Fizycznego, Rolniczego, Pedagogicznego, Języków Obcych i wielu innych.

Stolica Gruzji jest również ważnym centrum przemysłowym ze szczególnie rozwiniętym przemysłem maszynowym i włókienniczym.

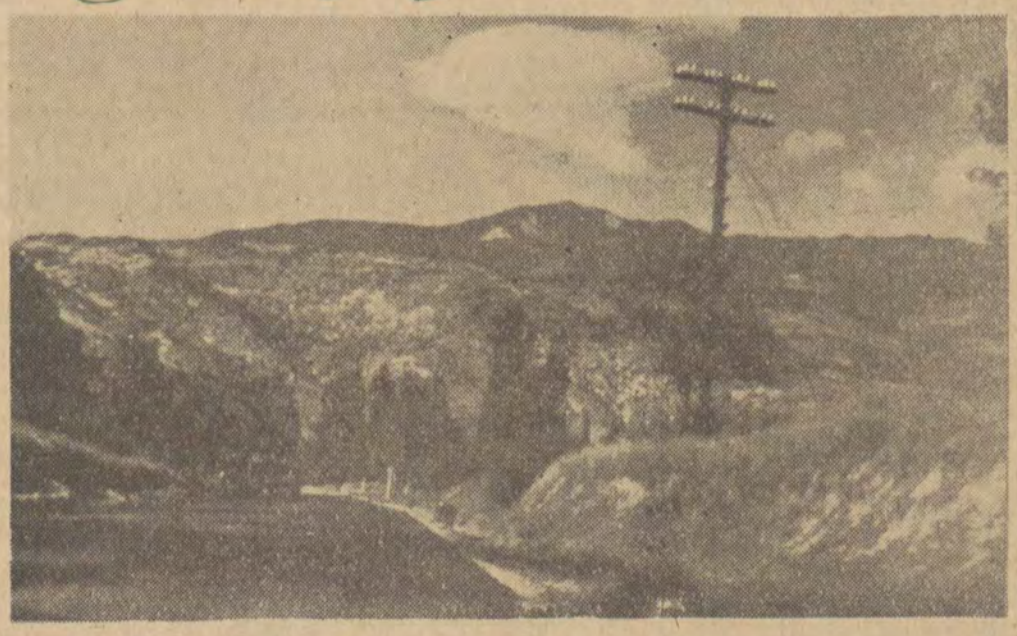

Tu zaczyna się słynna wojenno-gruzińska droga. Z tego miejsca tylko skok w SABURTAŁO. Zdjęcia autora

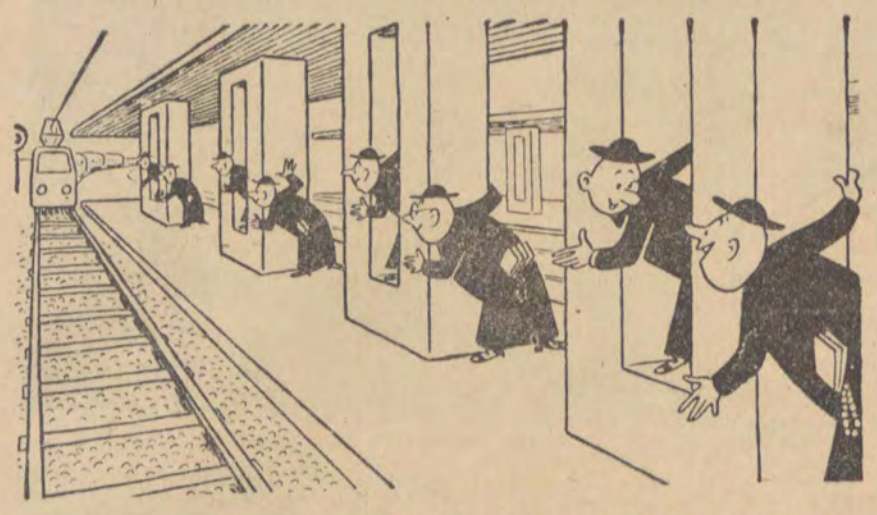

(W czasie igrzysk sportowcy z krajów demokracji poddani byli troskliwej „opiece" przedstawicieli Watykanu)
NIEOFICJALNY KOMITET OLIMPIJSKI

(Amerykańscy turyści wyszabrowali ze stadionu wiele flag olimpijskich — „na pamiątkę").
— JESZCZE TE ŚCIĄGNIJ — TO BĘDZIE NA SPODNICĘ...

— Oto wdzięczność za ofiarowaną wolność...

— Chcieliśmy się dostać na stadion...
— Ja też!

Najostrzejsze ołówki świata

RAOUL VERDINI

O olimpiadzie można nieskończenie. Już z górą dwa miesiące minęły od igrzysk — a w prasie ciągle pełno bilansów, rozwiązań, wspominków. Korzystamy więc z tego prawa „upłynniania remanentów", by przedstawić sylwetkę znakomitego humorysty i satyryka włoskiego Raoula Verdiniego.

Od wielu lat, regularnie co tydzień, na przedostatniej stronie magazynu „Vie nuove" — pojawia się tzw. „okienko Verdiniego". Wielu czytelników rozpoczyna lekturę pisma właśnie od tej rubryczki. W jednym lapidarnym rysunku Verdini daje komentarz najważniejszych wydarzeń minionego tygodnia, komentarz zawsze dowcipny i cięty.

Verdini nie ukrywa swych antypatii, zączepką mierzy zawsze wysoko, łatwo w tych rysunkach dostrzec ostry antyklerykalizm. Ale ta satyra nie przekracza nigdy cienkiej granicy, gdzie zaczyna się ponuractwo, wyiew żółci. W każdym z żartów Verdiniego znajdziemy element dowcipu, komizmu. Decyduje o tym już sam sposób rysowania. Najbardziej niesympatyczne postaci przedstawia Raoul z humorem małe, wyciosane figurki, trochę podobne do dzieci...

„Olimpijski" cykl żartów Verdiniego ukazuje igrzyska od podszewki — na ten temat nawet w naszej prasie było dość cicho. Na marginesie przyjacielskiego spotkania sportowców z całego świata, ludzi różnych ras i wyznań — toczyły się całkiem niebagatelne rozgrywki polityczne...

(jert)

Łódzki BIGOS HISTORYCZNY

(„Kurier Łódzki" — Dziennik polityczny, społeczny i literacki, rok 1911 m-ce IV—VI, nry 100, 101, 104, 107)

ŁÓDZKIE KARPIE

Jutro w Rudzie Pabianickiej spuszczają po 32-letniej przerwie wodę z 20 morgowego stawu p. Aleksandra Stefańskiego. Staw obfituje w olbrzymią ilość ryb, zwłaszcza KARPIE KRÓLEWSKIE są pokaźnej wielkości. Na rzadkie to widowisko wybiera się z Łodzi wielu mieszkańców.

STATYSTYKA ŁÓDZKA...

Jak wykazują dane urzędowe, w ciągu miesiąca lutego br(1911) dokonano w Łodzi 70 kradzieży. W całej gubernii piotrkowskiej w tymże miesiącu popełniono kradzieży 83.

Z PARYŻA

Z powodu 1 Maja w hippodromie Pawła, przed tłumem zgromadzonem, mówcy protestowali przeciwko polityce marokańskiej rządu i żądali, ażeby robotnicy odmówili ujęcie oręża dla obrony interesów finansowych związanych ze sprawą marokańską...

Z BERLINA

Wskutek niestawienia się do pracy w dniu 1 Maja w Berlinie, Bremie i Brunszwiku — wydalono ogółem 28.000 robotników.

KINEMATOGRAF „ODEON"

Pokazuje: W niedzielę, poniedziałek i wtorek wspaniały program w 4-ch częściach, między innymi: „Dusze które poznają się w ciemności" — dramat w wyk. wybit. art. paryskich, „Wandzia na wrotnisku" — komiczne. „Malownicze Laguny" — natura. Dyrekcja H. Czapski.

SCENA ŁÓDZKA

14-go maja, na zakończenie sezonu, odbędzie się benefisowe pożegnalne widowisko dyr. A. Zelwerowicza. Benefisant wybrał na uroczystość tą znakomitą komedię Oktawiusza Mirbeau pt. „Interes przedewszystkiem", w którym odegra jedną z najlepszych ról bogatego swego repertuaru — Izydora Lechat'a. Zasługi dyr. Zelwerowicza, położone w Łodzi przy podniesieniu poziomu artystycznego naszej sceny, są aż nadto znane bywalcom teatralnym, widowisku więc temu wróżyć należy zupełne słuszne i zasłużone powodzenie. Bilety są formalnie rozchwytywane.

OGŁOSZENIA ŁÓDZKIE...

1. Ważne dla dam. Gabinet Kosmetyczny przy perfumerii M. Janickiej, ul. Konstantynowska 10 róg Zachodniej, prowadzony jest pod kierunkiem uzdolnionej kosmetyczki uczennicy dr L. ZAMENHOFA, specjalność: masaż twarzy, usuwanie podbródków, zmarszczek, wągrów, brodawek, czerwoności nosa i zbytnich włosów na twarzy, pielęgnowanie rąk „Manicure", usuwanie łupieżu i mycie głowy, farbowanie siwych włosów i czesanie Dam.

2. Student II kursu uniwersytetu poszukuje kondycji. Wiadomości: gmach głównej poczty nr m. 11.

PO CO GDZIE INDZIEJ?

Zakład Hydropatyczno-Leczniczy „CHOJNY" pod Łodzią. Sanatorjum dla chorych nerwowych i wewnętrznych. Leczenie alkoholizmu i morfinizmu pod kierunkiem specjalisty Dra med. Aleksandra Fabiana. Otwarty od 1-go maja. Prospekty gratis na żądanie. Połączenie telefoniczne Nr 287.

Wybrał

ZDZISŁAW KONICKI

„ZGODNIE Z PRAWEM" *czyli* na pograniczu przestępstwa

EDMUND TUŁKO

Powiadają, że pieniądze demoralizują człowieka. Jest w tym wiele prawdy życiowej. Znałem takiego wybrańca losu, który wygraną w Toto-Lotka niemal całkowicie wydał w gastronomicznych lokalach. Z wygranej pokrył nawet koszt pobytu w Izbie Wytrzeźwień.

Są ludzie i ludzie. Jeśli ktoś dysponuje swoją gotówką, to ostatecznie pół biedy. Gorzej, gdy sięga po pieniądze państwowe. Mówi się wtedy: złodziej i proszę: odpowiedni paragraf kodeksu karnego, a potem wikt państwowy, opierunek wraz z noclegiem w pewnym odosobnionym miejscu.

Cóż jednak zrobić i jak nazwać człowieka, który pieniądze państwowe trwoni... w sposób nie podlegający kwalifikacji karnej. Ba, czyni się to niekiedy w sposób, zgodny z prawem.

Żeby się długo nie rozwodzić, mówię o dyrektorskim funduszu dyspozycyjnym. Jest taki fundusz we wszystkich niemal zakładach przemysłowych. Ustanowiono go, aby ułatwić pracę dyrektorom, którzy muszą niekiedy ponosić koszty reprezentacji. Jest to nieuniknione np. podczas przyjmowania delegacji zagranicznych, prowadzenia pertraktacji handlowych itp. Czy jednak wszyscy dyrektorzy wydają te pieniądze zgodnie z przeznaczeniem, czy służą one przedsiębiorstwu, czy też samemu dyrektorowi?

Bywa różnie. Najczęściej pieniądze z funduszu dyspozycyjnego służą rzeczywiście dobru fabryki. Jest jednak i tak, że traktuje się je jako dodatek do normalnych uposażeń. A co najdziwniejsze „podkładki" (tak nazywa się potocznie dokumenty uzasadniające rozchód pieniędzy), są wtedy jak najbardziej prawidłowe.

W jednej z fabryk piotrkowskich z funduszu dyspozycyjnego płacono za obiady w miejscowej restauracji, przy czym dyrektor nie fatygował się nawet uzasadnić dlaczego i dla kogo obiady te były przeznaczone. Tak się zawsze składało, że „obiadki" dyrektorskie urządzano w piątki i soboty. To są te wiadome w statystyce dni tygodnia w które wypija się najwięcej alkoholu. A wódeczność bywa na stołach dyrektorskich, sądząc po wysokości rachunków. Przypuszczenie to potwierdza się, jako że homary są w naszych restauracjach rzadkością.

W innej z kolei fabryce pieniążki dyspozycyjne przeznaczano na papierosy i kawę. Dyrektorzy zalewali się dosłownie kawą, a papierosy palili tylko zagraniczne. Bo to nie uchodzi reprezentować fabrykę polskimi „Giewontami" czy „Grunwaldami".

W ogóle z tym funduszem dyrektorskim, tu i ówdzie dzieją się dziwne rzeczy. I choć ktoś może przypuszczać, że chodzi o znikome sumy i cała batalia nie warta świeczki, rzeczy mają się inaczej. Bo proszę, z fabryk bawełnianych otrzymuje się fundusz w wysokości 36 tys. zł rocznie. Ile jest w kraju takich fabryk?

Ale i to wyliczenie można sobie podarować. Chodzi o rzecz ważniejszą, o moralną postawę, o jakąś godność dyrektora, człowieka, bądź co bądź, odpowiedzialnego. Oszczędność nie jest przecież jakimś tam wymyślonym nakazem odgórnym, lecz prostym obowiązkiem każdego człowieka zajmującego kierownicze stanowisko. I dlatego dyrektorzy kilku przedsiębiorstw niemile zaskoczeni musieli opuścić swoje stanowiska, gdyż kontrola władz państwowych i partyjnych wykazała, że trwonią pieniądze państwowe i traktują je jako dodatek do normalnego uposażenia.

Jest to przestępstwo? I tak i nie. Z punktu widzenia prawa trudno wykazać cele przestępcze: pieniądze wydano i mają one pokrycie w rachunkach. Pieniądze daje się też dyrektorowi z zaufaniem, iż wyda je celowo i z korzyścią dla przedsiębiorstwa. Dyrektor w obliczu prawa jest więc w porządku, ale moralnie?

O rozbieżności norm moralnych i prawnych pisano już wiele. Można tu tylko powtórzyć znaną tezę, że prawo stanowi przybliżone odbicie norm moralnych. Nie podobna skodyfikować wszystkich możliwości przestępczego działania. Stąd też popularne powiedzenie: nie ma przepisów, których nie da się ominąć. Ocena moralna jest jednak zawsze jednoznaczna.

Ostatnio jesteśmy raz po raz świadkami ujawniania różnych afer. W wielu wypadkach nie mają one charakteru przestępczego, lecz ocierają się o niebezpieczną granicę kryminalną. Dyrektorów i kierowników usuwa się ze stanowisk ku ich wielkiemu zdziwieniu. Powiadają oni: przecież wszystko było zgodne z prawem i nie możecie nam nic zarzucić!

Wiele wysiłków dyrektorów idzie na szukanie sposobu ominięcia przepisów. Robi to się poprzez wynajdywanie przepisu odmiennego. I jeśli przepis taki się znajdzie, co jest to możliwe, wówczas postępowanie dyrektora traci znamiona przestępstwa.

Dochodzimy tu do ważnego problemu koordynacji wszystkich przepisów i ustaw. Sprawa pilna i do załatwienia, ale na potem. Zresztą martwią się już o to prawnicy.

A na razie? Sprawy mają się tak: dyrektor jest osobiście odpowiedzialny za swoje postępowanie. I choć by jego przewinienie było „kryte" przepisami, to nic nie uchroni go od ponoszenie odpowiedzialności moralnej. Ta ostatnia powinna zaś mieć i konsekwencje służbowe.

Dziwne w tej sprawie stanowisko zajmują niektóre zjednoczenia przemysłowe. Często zdarza się, że dyrektorskie uchybienia ujawniono, a zjednoczenie waha się, „bo to nie było niezgodne z prawem". Taka postawa, nie trzeba szeroko dowodzić, hamuje też oddolną krytykę.

Ale to już odrębna sprawa.

OPINIE
Andrzeja Wajdy

Tadeusz Łomnicki i Kalina Jędrusik w filmie reż. Wajdy pt. „Niewinni czarodzieje".

Andrzej Wajda jest jednym z najwybitniejszych, a niewątpliwie najbardziej popularnym reżyserem młodego pokolenia. „Pokolenie", „Kanał", „Popiół i diament", „Lotna" — to filmy, które przyniosły mu sławę i uznanie nie tylko w kraju ale i za granicą. Najnowszy film Wajdy — „Niewinni czarodzieje" ukaże się na ekranach jeszcze w tym roku.

Korzystając z pobytu Andrzeja Wajdy w Łodzi w związku z realizacją „Samsona", wg powieści Kazimierza Brandysa — postanowiliśmy zapoznać Czytelników z jego niektórymi poglądami.

— Filmy Pana spotkały się ze szczególnie żywym zainteresowaniem krytyki. Pisano o nich bardzo dużo i często. Miał Pan okazję, jak chyba nikt z twórców, zapoznać się gruntownie z metodami naszej krytyki. Co Pan o nich sądzi?

— Nie umiałbym wskazać na tym terenie nazwiska, które byłoby „autorytetem", tak jak np. w dziedzinie teatru Jan Kott. Krytycy filmowi na ogół nie piszą o filmie jako o sztuce. Najinteligentniejsi badają film tylko jako zjawisko społeczne. Są oni właściwie felietonistami. Nie piszą o filmach ale z okazji filmów, na ich marginesie. Nikt natomiast nie próbuje rozróżnić zalet czy wad scenariusza od zalet czy wad roboty reżyserskiej, nikt nie zajmuje się serio i wyczerpująco plastyczną stroną filmu. Cóż dopiero mówić o programach, o jakimś wyjściu krytyki naprzód.

— Jeśli Pan zna stan krytyki zachodnio-europejskiej, to czy tam sytuacja jest lepsza?

— Może nie lepsza, ale inna. Zachodnia prasa przynajmniej nie niszczy filmów. Stosuje się tam pewną zasadę: dobrze o filmie można napisać nawet w dwóch linijkach. Ale gdy się chce napisać źle — trzeba to podeprzeć rzetelnymi argumentami. U nas natomiast — im autor mniej przygotowany do zabierania głosu w sprawach filmu, tym zjadliwsze pisze recencje. Ostatecznie nie mamy żadnych powodów by od kinematografii polskiej wymagać samych arcydzieł.

— Czy akceptuje Pan termin „szkoła polska", określający filmy tak przecież różne?

— Wydaje mi się, że właśnie teraz, kiedy kinematografia polska znalazła się w sytuacji trudnej, powinniśmy się wokół tego hasła grupować, szukać elementów, które nas rzeczywiście łączą. Tutaj właśnie widziałbym dużą rolę krytyki.

— Czy uważa Pan, że wśród najnowszych filmów polskich znajdują się pozycje, które kontynuują odkrycia „szkoły polskiej"?

— Chyba tak. „Szkoła" nie ogranicza się przecież do tematyki okupacyjnej, lecz obejmuje szerszy wachlarz zagadnień. Skądinąd, każda teoria leżąca u podstaw szkoły może mieć zarówno pozytywne jak i negatywne fakty.

— Czy Pana zdaniem możliwa jest realizacja filmu bieżącego współczesnego? Oczywiście, mam na myśli film ambitny i udany.

— Owszem możliwa. Ale najpierw musi pójść w tym kierunku literatura. Literatura bowiem może bardziej „na gorąco" odpowiedzieć na pewne aktualne problemy.

— Co Pan sądzi o francuskiej „nowej fali"?

— Najciekawszą pozycją w tej grupie filmów jest „Hiroszima, moja miłość". To jedyny film, który zbliża kino do prawdziwie współczesnych kierunków literackich.

— Słyszałem o Pana planach twórczych. Jakkolwiek zamiar adaptacji „Pierwszego dnia wolności" Kruczkowskiego wydaje się dosyć naturalny, to chęcią sfilmowania „Przedwiośnia" jestem mocno zaskoczony. Zwykliśmy przecież łączyć zainteresowania Pana z problematyką ostatniej wojny.

— W powieści tej interesuje mnie człowiek znajdujący się w sytuacjach zmuszających go do wyboru.

— Może zechce Pan powiedzieć coś o „Samsonie".

— Z zasady nie mówię ani słowa o filmie nad którym zaczynam pracować. Zwłaszcza, że realizacja „Samsona" opóźnia się. Mamy kłopoty z ustaleniem obsady aktorskiej. A główna rola w tym filmie będzie szczególnie ważna.

— Czy ma Pan na uwadze kogoś z „gwiazdorów"?

— Nie.

— Jakie miejsce w Pana praktyce twórczej zajmuje teatr?

— Na Wybrzeżu reżyserowałem „Kapelusz pełen deszczu" i „Hamleta". W tej chwili w warszawskim teatrze „Ateneum" robię rzecz trzecią — dwuosobową sztukę amerykańskiego pisarza Gibssona — „Dwoje na huśtawce".

— Czy Pana praca w teatrze ma jakiś związek z filmem?

— Na pewno jest jego uzupełnieniem. A w ogóle — o teatrze myślę coraz bardziej poważnie.

Rozmawiał:

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Komentarz do opinii...

W zamieszczonym obok wywiadzie jaki Andrzej Wajda udzielił „Odgłosom" wiele sformułowań wydaje się niepokojących. Przede wszystkim widać wyraźnie niebezpieczeństwo, które poczyna grozić współczesnej kinematografii polskiej — (pisała o tym. M. Kornatowska w poprzednim numerze naszego pisma) — niebezpieczeństwo wtórności filmu w stosunku do literatury. Okazuje się, że nawet tak wybitny filmowiec jak Wajda uważa, że najpierw literatura winna przeorać problematykę współczesną a dopiero potem w ślady literatury może wkroczyć film. Dlaczego „właśnie literatura może bardziej na bieżąco odpowiadać na aktualne problemy?" Jest w tym chyba jakieś poważne nieporozumienie.

To samo tyczy dokonanej przez Wajdę oceny filmu „Hiroszima, moja miłość". Uzasadnienie, że film ten jest dlatego dobry, ponieważ, jak sformułował Wajda „zbliża kino do prawdziwie współczesnych kierunków literackich" — jest smutnym przyznaniem się do klęski, do niższości w jakiej film pozostaje w stosunku do literatury. Był przecież czas, że literatura bardzo dużo uczyła się od filmu, być może teraz przyszedł czas, gdy film musi uczyć się od literatury. Ale niepokojące jest, że filmowcy zdają się z tym zgadzać, a co gorsze, uznają to za naturalne.

Nie można się także zgodzić z żądaniem, aby w stosunku do kinematografii polskiej krytyka miała taryfę ulgową. Nie istnieją chyba powody, żeby twierdzić — kinematografia polska pozostaje w gorszej sytuacji niż kinematografia innych krajów i w związku z tym należy polskie filmy oceniać z przymrużeniem oka.

RED.

LIST Z PRZYSZŁOŚCI

PISANE W LISTOPADZIE 1961 r.

Moi drodzy, zamówiliście u mnie felieton, oceniający dorobek naszej kinematografii fabularnej na przestrzeni roku — od jesieni 1960 do jesieni 1961 r. Przykro mi, że nie wywiążę się w stu procentach z powierzonego zadania nie oczekujcie ode mnie ocen poszczególnych filmów, nie podejmuję się nawet wskazać pozycji najwybitniejszych. Znacie mnie dobrze, należę do ludzi raczej spokojnych, nie wadzę i nie chcę wadzić — nikomu...

Jeśli Wam jednak zależy na paru spostrzeżeniach ogólnych, lub czasem nawet o g ó l n i k o w y c h — proszę bardzo...

* * *

Widzieliśmy w minionym roku 28 filmów fabularnych *). Bardzo dobrych, dobrych i przeciętnych — o tym ani słowa więcej, jak zapowiadałem. Ale poza skalą wartości są jeszcze inne sposoby szufladkowania.

Podział gatunkowy: odbyły się premiery 18 dramatów, 4 filmów dla dzieci i młodzieży, 3 filmów sensacyjnych, 3 komedii.

Podział historyczny: 3 filmy dotyczyły bardziej odległych epok (kostiumowe) 1 film opowiadał o dwudziestoleciu, 8 — ukazuje czas wojny i okupacji, reszta — 16 pozycji — dotyczy współczesności, to znaczy — najogólniej biorąc akcja się dzieje w Polsce Ludowej.

Scenariuszy oryginalnych: 13. Adaptacji — z nowel, powieści i dramatów: — 15.

* * *

Popularny był niegdyś chwyt — stosowany nie tylko w krytyce filmowej — który polegał na wytykaniu „czego nie pokazano"... Można by więc mnożyć w nieskończoność listę takich braków: nakręcono t y l k o jeden film o problematyce wiejskiej, bardzo r z a d k o pokazuje się w naszych filmach środowisko robotnicze, powstał z a l e d w i e jeden film historyczny, i tak dalej i tak dalej. Oczywiście — jest to metoda uderzeń poniżej pasa, od której się odżegnujemy...

Ale już na pierwszy rzut oka widać w podanych wyżej zestawianiach wyraźne dysproporcje. Jeśli nie liczyć filmów młodzieżowych, gdzie oczywiście trudno pokazywać rzeczy krwawe i hamletyczne — to właściwie cała niemal nasza produkcja stała pod znakiem dramatu. Obojętne, czy jest to dramat społeczny, psychologiczny, czy sensacyjny — ale n i e u s t a n n i e dramat. Tylko 3 komedie na 24 filmy dla dorosłych!

To samo odnosi się zresztą do filmu sensacyjnego. Też zaledwie trzy tytuły — licząc na siłę pozycji, w których element sensacyjny dominuje. Nie nakręciliśmy jednak żadnego filmu klasycznie kryminalnego, z zagadką, cwanym detektywem — i tym podobnymi akcesoriami, tak bardzo lubianymi przez widzów i czytelników.

Emil Karewicz i Aleksandra Śląska w scenie z filmu „Historia współczesna"

Odnosi się po prostu wrażenie, że w kalkulacjach programowych tzw. szary widz i jego powszechnie znane upodobania — były czynnikiem najmniej ważnym. Wielkie problemy, życiowe konflikty — zgoda, lecz nie samym mięsem człowiek żyje, organizm domaga się też witamin. W naszym przypadku — witaminy „R" — r o z r y w k i.

* * *

Dalibóg, nie chcę być fałszywie zrozumiany. Kategorycznie odcinam się od tych głosów, które wołają gromko o nastawienie naszej kinematografii na produkcję tzw. „B-picture". Dokładnie dwa lata temu w listopadzie 1959 roku, ceniony krytyk warszawski doradzał twórcom poprzestać na „filmie małym, filmie drugiego rzutu, który jednak penetruje rzeczywistość, przygotowując teren dla jej śmielszej interpretacji". Tym żądaniem tzw. „warszawska krytyka" podrzuciła polskiej kinematografii kukułcze jajo: p r o g r a m o w y brak ambicji. Z góry założone wyrobnictwo może w efekcie prowadzić jedynie do realizowania filmów „C", „D" itd.... Już w roku 1960 mieliśmy kilka klinicznych rezultatów takiego nastawienia (casus „Decyzja"), podobną tendencję „anty-artyzmu" łatwo też wyczuć w szeregu późniejszych pozycji. Były one do odczytania nawet w scenariuszach tych filmów.

Film „B" — może to dotyczyć co najwyżej gatunku, problematyki lecz nigdy za kładanych z góry wartości dramatycznych, i realizatorskich. W przeciwnym razie nawołujemy do partactwa.

SPECTATOR

(dokończenie za tydzień)

*) Uwzględniam tu następujące pozycje: „Świadectwo urodzenia", „Nafta", „Historia współczesna", „Matka Joanna od Aniołów", „Rzeczywistość", „Ostrożnie — Yeti", „Chłopiec z pociągu", „Szklana góra", „Samson", „Kwiecień", „Szczęściarz Antoni", „Rozstanie", „Na białym szlaku", „Dziś w nocy umrze miasto", „Drugi człowiek", „Mąż swojej żony", „Złote ręce", „O krasnoludkach i sierotce Marysi", „Ogniomistrz Kaleń", „Przeciw bogom", „Bitwa o kozi dwór", „Niewinni czarodzieje", „Odwiedziny prezydenta", „Droga na zachód", „Czas przeszły", „Milczące ślady", „Przemiany", „Wakacje z szatanem".

Najnowsza premiera:

KOLOROWE POŃCZOCHY

Głośny ze swej przekory i ironii krytyk filmowy „Świata" napisał niedawno o znanym ze swej nudy i amatorszczyzny filmie, że „dopiero po jego obejrzeniu zyskał satysfakcję, iż był świadkiem pierwszej, udanej w tym sezonie premiery filmu polskiego". Ciekawe więc, z jaką „oceną" wspomnianego recenzenta spotka się nowy film polski reżysera Janusza Nasfetera „Kolorowe pończochy"...

Niżej podpisanemu — nowy film twórcy „Małych dramatów" sprawił dużą satysfakcję. Oto mamy wreszcie twórcę rzeczywiście, o dużej wrażliwości artystycznej, co jest tym cenniejsze, że podejmuje trudną problematykę dzieci i dorastającej młodzieży. Bohaterowie nowel Nasfetera są prawdziwi w każdym calu, daleko im do „gwiazdorskiej" cudowności filmowego dziecka — samograja, którego sama buzia na ekranie wywołuje zachwyt widzów. Dzieci w filmie Nasfetera są nieraz przykre, brutalne, zastrachane, krzykliwe. Mają wiele kompleksów, których istnienia rodzice na ogół nawet nie przeczuwają.

W pierwszej noweli o Matyldzie przedstawia Nasfeter skomplikowane problemy wieku dojrzewania. Młoda bohaterka przeżywa boleśnie sprawę tak istotną dla podlotków jak posiadanie modnych, kolorowych pończoch. Rzecz może wydać się na pozór błaha dla dorosłych mających wiek Matyldy dawno poza sobą. Ale czy rzeczywiście nie było dla nas nigdy kłopotliwe — iść na przykład w pumpach na spotkanie z pierwszą szkolną sympatią? Czy czasami nie za bardzo lekkomyślnie w stosunku do dorastających dzieci staramy się o naszych „tamtych sprawach" zapomnieć?

W drugiej noweli twórca „Kolorowych pończoch" podejmuje zagadnienie może nawet o wiele ważniejsze — historię zahukanej dziewczynki uczącej się w klasie, w której dominuje mały kacyk, wynoszący swe chamskie nawyki od „kochanych rodziców". O tym, że wśród dzieci istnieje czasami o wiele większa doza odwagi przeciwstawiania się chamstwu i kacykostwu — warto, by przekonało się wielu dorosłych...

Z satysfakcją również patrzy się na młodych odtwórców głównych ról. Wymienić trzeba bardzo naturalną Zofię Bodakowską jako Matyldę (w życiu prywatnym — uczennicę Liceum Technik Plastycznych w Zamościu), oraz 10-letnią Sylwię Lipczyńską, bohaterkę drugiej, noweli. Oprócz nich Janusz Nasfeter w kolejnym filmie z powodzeniem kontynuuje współpracę ze swoimi młodymi znajomymi z „Małych dramatów". Dzieciom poprawnie sekundują: Gustaw Holoubek, Stanisław Milski, Jan Machulski. Jak zawsze świetne zdjęcia (kolorowe i czarno-białe) są dziełem Bogusława Lambacha.

Na temat „Kolorowych pończoch" winni się wypowiedzieć rodzice i nauczyciele. Im też przede wszystkim należy polecić ten film.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK